s.6–9, 16–17

Czy wojna na Bliskim Wschodzie uderzy nas po kieszeni? Jak eskalacja działań wojennych USA, Izraela i Iranu wpłynie na ceny ropy i innych towarów?

magazyn Puls
POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

Ulotny plan „zero”

Wygląda na to, że prezydent znalazł pretekst, by zawetować SAFE

s.4

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl
Piątek–niedziela, 6–8.03.2026 • Nr 19 (2530) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682
9 771898 308059 10

s.10
Zabijają coraz młodsi: nastolatki, a nawet dzieci

s.26
Opowieść o pilotce, która została zabita w Katyniu

eprasa.pl 528e2659f7

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

● Lekarze z Krakowa pracują nad nowoczesnymi terapiami w leczeniu glejaka ● Sądy nie radzą sobie z wyrokami w sprawie hejtu

Janusz Michalczyk
publicysta

WARTO OBIECAĆ POPRAWĘ

Jedni podejmują decyzję, czy zjeść na obiad kotlet schabowy, inni - czy zaatakować Iran. Za każdym razem chodzi o mechanizm, który dla starożytnych filozofów i współczesnych naukowców badających mózg kryje się za pojęciem: wolna wola. Dla filozofów owo pojęcie jest wdzięcznym obiektem rozważań, ponieważ ze swojej natury jest raczej mętne, choć zarazem intuicyjnie pojmuje go każdy głupek. Dla naukowców kochających eksperymenty stanowi nie lada wyzwanie. Najbardziej radykalni doszli do wniosku, że zanim badany postanowi, co chce uczynić, już sekundy wcześniej odpowiednie sygnały wysyła jego mózg. Wygląda to tak, jakby autonomicznie sterował zachowaniem, a potem świadomość to tylko „przyklepywała".

Wolna wola nie istnieje - głosi Robert Sapolsky, a zwolennicy tego poglądu objaśniają, że największy wpływ na nasze życiowe decyzje mają geny i doświadczenia w dzieciństwie. W ekstremalnej wersji oznacza to, że nawet osoby krzywdzące innych powinniśmy traktować jak ofiary niezależnych od nich procesów.

Wystarczy się chwilę zastanowić, by uznać, że niezbyt rozsądne byłoby wyrzucanie wolnej woli na śmietnik historii ludzkiej myśli. Przecież opiera się na niej potoczne rozumienie odpowiedzialności i cały system prawa. Jedynie niepoprawni idealiści mogą sądzić, że rezygnacja z wymierzania kary nie spowoduje chaosu. Są badania, z których płyną wnioski, że ludzie przekonani do poglądu, iż wolna wola nie istnieje, są bardziej skłonni do nieuczciwości. Jak gdyby został zakłócony mechanizm samokontroli. Inne badania pokazują, że już niemowlęta , a nawet małpy, potrafią rozpoznać, że dzieje się krzywda czy niesprawiedliwość.

I na szczęście, jest jeszcze sumienie. Z psychologicznego punktu widzenia to coś, co pozwala nam przyznać się do błędu i skorygować zachowanie. Zawsze też warto obiecać poprawę. Samemu sobie i innym.

0011487525

Pani
Marcie Milewskiej
Zastępcy Dyrektora Kancelarii Marszałka
i Rzeczniczce Prasowej Urzędu Marszałkowskiego
Województwa Mazowieckiego w Warszawie

wyrazy najgłębszego współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach po śmierci

Mamy

składa
Adam Struzik
Marszałek Województwa Mazowieckiego

Z CZEGO JUTRO...? COINCIDENTIA OPPOSITORUM BRAKU GRANIC WŁADZY I MAJESTATU NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Andrzej Sadowski
Centrum Adama Smitha

Prawie pół wieku temu w humanistycznym państwie renesansu autor „Utopii" Lord Kanclerz Tomasz Morus odpowiedzialny za przewodniczenie obradom Izby Lordów oraz jako strażnik Wielkiej Pieczęci Państwowej, którą opatrywał akty prawne, przeprowadza przez parlament „An Act for Poisoning". Ustawa wprowadzona w roku 1530 za panowania Henryka VIII przez parlament Anglii jest znana z ustanowienia kary śmierci przez ugotowanie żywcem dla osób winnych morderstwa przez otrucie.

Przeprowadzenie przez Tomasza Morusa ustawy dopuszczającej gotowanie ludzi żywcem jako autora „Utopii", który wcześniej krytykował w niej surowość angielskiego prawa karnego m.in. za karę śmierci za kradzież, nie powinno budzić zdziwienia, bowiem jako urzędnik królewski był też nieustępliwy w ściganiu osób, które uważał za zagrożenie dla porządku publicznego i religijnego. W „Holinshed's Chronicles" jednym z najważniejszych źródeł epoki elżbietańskiej, z której obficie korzystał William Szekspir, opis egzekucji przez długotrwałe gotowanie żywcem Richarda Roose'a uzasadniany jest okrucieństwem zbrodni i grozą otrucia, wobec której parlament musiał uchwalić nowe prawo, uznając tradycyjne kary za niewystarczające.

Richard Roose został stracony w Smithfield, tradycyjnym miejscu egzekucji w Londynie w Wielki Piątek, 15 kwietnia 1531 r. Nie miał nawet formalnego procesu przed ławą przysięgłych, bowiem obowiązywał Act of Attainder, czyli ustawa o uznaniu za winnego, w którym parlament obwoływał daną osobę lub grupę osób za winną zdrady stanu lub innego ciężkiego przestępstwa bez konieczności przeprowadzania procesu sądowego. Act of Attainder pozwalał monarsze lub parlamentowi na szybkie wyeliminowanie przeciwników politycznych, zwłaszcza gdy brakowało dowodów winy lub gdy zwykły sąd mógłby uniewinnić oskarżonego z powodu ich braku.

Drugą egzekucję poprzez ugotowanie wykonano w roku 1542 na Margaret Davy, po czym przepis o gotowaniu żywcem został uchylony w roku 1547 przez parlament za panowania Edwarda VI. Strach nie potrzebuje wielkich statystyk, a jedynie przykładu, który wywoła powszechną grozę. Poza wykonaniem okrutnych egzekucji otrucie jako zbrodnię podniesiono do rangi „zdrady stanu" - high treason, co było ewenementem, gdyż zazwyczaj zdrada dotyczyła bezpośredniego ataku na monarchę lub państwo. Sprawa ugotowania żywcem zgodnie z prawem Richarda Roose'a była symbolem zmiany w angielskim prawie, bowiem był to moment, w którym król przyznał sobie prawo uznania niemal każdej zbrodni za „zdradę" i przypisania do niej dowolnie okrutnej kary, co było realną miarą dopełnienia absolutnej władzy Henryka VIII, a w dzisiejszej semantyce byłoby to jednoosobowe „domknięcie układu".

Kronikarze tacy jak Holinshed nie oceniali tej kary jako „złej" w dzisiejszym sensie, lecz traktowali ją raczej jako sprawiedliwy, choć ekstremalny środek mający na celu ochronę porządku publicznego przed „niewidzialnym mordercą", jakim była trucizna.

W epoce Tudorów, a zwłaszcza za panowania Henryka VIII, definicja zdrady stanu - high treason była niezwykle elastyczna. Prawo zaczęło traktować „wypowiadanie słów" - speaking words jako zdradę jak m.in. nazywanie króla heretykiem, uzurpatorem czy też kwestionowanie jego tytułu monarchy. Przestępstwem było samo „wyobrażanie sobie" - compassing or imagining śmierci monarchy. W praktyce oznaczało to, że ten, kto np. konsultował się z astrologiem w celu poznania daty śmierci króla, mógł zostać oskarżony o zdradę, ponieważ samo pytanie sugerowało, że dopuszcza myśl o końcu panowania władcy.

Król używał go jako narzędzia do eliminowania przeciwników lub za takich przez niego uznanych oraz by wymuszać posłuszeństwo. Można było zostać straconym za nazwanie króla „heretykiem", „tyranem" lub „schizmatykiem". Nawet odmowa złożenia przysięgi uznającej króla za głowę Kościoła jak w przypadku św. Tomasza Morusa była traktowana jako zdrada.

Niektóre z ówczesnych kar „ożywają" w czasach rewolucji cyfrowej. Ustanowiono kategorię „zdrady przez słowa" - treason by words na mocy ustawy Treason Act z roku 1534. Zdradą stało się nie tylko działanie, ale nawet mówienie źle o królu. Ustawa rozszerzała definicję zdrady z czynów fizycznych - overt acts na wypowiedzi, pisma lub teorie uznawane za wrogie monarchii. Ówczesne przesłanki dziś spełniałyby znamiona tzw. mowy nienawiści. W wieku XVI i XVII „zdrada słowna" stała się tak powszechnym narzędziem eliminacji, że narastające napięcie między wolnością słowa a tężejącą władzą absolutną można odnaleźć w utworach literackich m.in. Williama Szekspira czy Johna Donne'a.

Czy wszechobecna dziś AI szekspirowskie i donne'owskie analizy mechanizmów władzy permanentnie wchodzącej w kolizję z sumieniem i prawdą i dylematów moralnych jednostki wobec arbitralnego, surowego prawa nie odnalazłaby w obowiązujących systemach politycznych i prawnych? Na ile coraz bardziej absolutystyczna władza biurokracji nie zagraża wolnościom i prawom jednostki? Porównując myśli Johna Donne'a z wieku XVII i Murraya Rothbarda z wieku XX, którego setna rocznica urodzin miała miejsce 2 marca, zaskakująca jest stałość na przestrzeni wieków ewolucji buntu przeciw władzy od rozpoczęcia walki o „wolność sumienia" wewnątrz systemu, po całkowite zakwestionowanie legitymizacji państwa jako „aparatu grabieży".

W jakiej części obecna demokracja przepoczwarzyła się w ustroju z dzieła Jacobsa Talmona „Źródła demokracji totalitarnej"? Na ile działania ordynujące jedną, urzędowo obiektywną „prawdę polityczną" i dążenie do narzucenia jej społeczeństwu w imię wyższego dobra nie jednego kontynentu, ale całej ludzkości w imię absolutnej harmonii nie przybliżają nas do „Nowego wspaniałego świata" Aldousa Huxleya? Coraz bardziej otwarcie państwo rości sobie prawo do zmuszania jednostki do bycia „wolną" poprzez posłuszeństwo wobec urzędowej ideologii stającej się świecką religią uznającej konflikt między jednostką a państwem za błąd, który należy wyeliminować ograniczając wolność słowa i inne prawa obywatelskie.

Czy utopią samą w sobie nie jest afirmacja coincidentia oppositorum, czyli „zbieżności przeciwieństw" w przypadku wolności jednostki oraz państwa niesprawiedliwego w praktyce? W alchemii coniunctio oppositorum miało prowadzić do połączenia przeciwnych substancji w celu osiągnięcia doskonałości, a w polityce już samo dążenie do niej nie zostawia miejsca na wolność jednostki.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

eprasa.pl 528e2659f7

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011485615

Sport buduje charakter i to jest najważniejsza sprawa

Rozmowa z Kamilem Otowskim, dwukrotnym paralimpijskim mistrzem w pływaniu z Paryża, o szukaniu swojego miejsca w świecie, który mocno i szybko zmienia choroba, o sposobach doskonalenia się w sporcie i wyciągania z niego uskrzydlających momentów.

Każda historia ma swój początek. A Twoja z pływaniem jak się ułożyła?

Jeśli chodzi o sport, to zacząłem od wody. Mówiąc na poważnie, w kontekście uczęszczania na treningi i angażowania się. Pływanie było pierwszym sportem, chociaż głowa zawsze ciągnęła mnie do tego, żeby być bramkarzem. Na przeszkodzie stawały jednak nogi, które zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Wybijać się nie mogłem, bo nieprzychylna była grawitacja. Ta grawitacja nie jest już taka sama w wodzie. Tam jest inaczej, bo woda pomaga odciążać ciało przy wykonywaniu ruchów.

Cierpisz na chorobę układu nerwowego, neuropatię. Borykasz się z nią od dawna?

To się rozwijało z wiekiem. Problemy mam od urodzenia, ale nie aż takie, jak teraz. Mówimy o chorobie progresywnej. Kiedy zaczynałem pływać, to chodziłem na treningi. Teraz muszę się na nie dostawać już na wózku. Choroba jest ze mną od początku, więc przez wszystkie moje cykle pływania szła obok. Czy dzięki pływaniu postępuje wolniej? Chyba tak.

Pływanie jest kojące, ale na wyczynowym poziomie nużące. Jak sobie z tym radzisz?

Uważam, że woda czasami wymaga odpoczynku od siebie. Wszystko musi iść zdroworozsądkowo. Nie ma możliwości, aby dziesięć lat młócić wodę i wyciągać z tego tylko szczęście. W pływaniu masz ograniczony kontakt dookoła siebie. Jedyne, co słyszysz, to bąbelki w uszach. To obciążające, ale trzeba sobie znaleźć odskocznię. Nie można wszystkiego stawiać na jedną kartę. Myślę, że każdy szczebel trzeba sobie zaplanować. Są kwestie hobbystyczne i pasje, które siedzą w każdym człowieku. One pozwalają sobie radzić, aby mieć mentalną odskocznię. To problem niektórych sportowców, którym nie wyjdzie najważniejsza impreza w życiu lub przytrafi się poważna kontuzja, że dla nich załamuje się wtedy całe życie. A to nie może być tak.

Co z tej pływalni przekładasz na życie codzienne? Co zawdzięczasz sportowi?

Czynności ze sportu nie przełożę do życia, bo nie żyję w wodzie. Sport buduje charakter i to jest najważniejsza sprawa. Jeśli zaczyna się od najmłodszych lat coś uprawiać, to przejmuje się wszystkie wartości, takie jak obowiązkowość, zawziętość, umiejętność zagryzania zębów, czy często przyjmowanie na siebie bólu fizycznego lub psychicznego. To sport uczy, że nie odstawiasz nogi. Buduje pewność siebie, jeśli dasz mu się pochłonąć.

Poczucie mocy w sporcie przekłada się na okołożyciowe kwestie. I uważam, że to jest piękne. Ten, kto wytrwa w sporcie, ten dużo z niego wyciągnie na dorosłe życie. Jeśli ktoś odpadnie na pewnym etapie szkolenia, to oznacza, że nie wszystko poszło zgodnie z procesem. Ale nie ma co się załamywać, bo jak ktoś chce, to zawsze znajdzie coś dla siebie. Nie trzeba być super fizycznym, bo można znaleźć sport wymagający koncentracji. Różnorodność konkurencji jest olbrzymia i jeśli ktoś przy naborze jest odpowiednio prowadzony, to będzie się rozwijał.

Swoje pływanie doprowadziłeś do dwóch złotych medali igrzysk paralimpijskich w Paryżu. Jest też rugby na wózkach. A to zupełnie inna bajka...

Rugby pojawiło się po igrzyskach, gdzie trudno zmobilizować się na kolejne czterolecie. Okazało się, że jak szedłem na pływalnie, to zaczepiły mnie osoby ze środowiska rugby na wózkach. I wyszło tak, że nie tylko spróbowałem, ale zostałem w tym sporcie. Od maja 2025 roku działa mój klub Tornado Warszawa, który trenuje na Białołęce. Celuję w to, aby za mojego życia zobaczyć rugby na igrzyskach paralimpijskich.

Co takiego urzekło Cię w rugby na wózkach? To była ta odskocznia od pływalni?

To sport kontaktowy. Jest też drużyna. To sport, który daje wysoki poziom adrenaliny, wzmacnia kondycję i wytrzymałość. Jest zupełnie inny niż pływanie. Jest fantastyczny, jeśli chodzi o wymóg myślenia. To też odróżnia go od pływania, gdzie głębszego myślenia nie ma. Kto zna taktykę w rugby, ten wygra z każdą fizycznością. To szachy w czasie rzeczywistym na wysokiej intensywności z wieloma kontaktami w trakcie meczu. Na wózku rugbowym każdy może sobie dawać radę. To ważne w kontekście aktywizacji i myślenia na boisku. Tutaj każdy zawodnik jest ważny.

W jaki sposób zachęciłbyś dzieci lub młodzież niepełnosprawną do postawienia na sport wyczynowy? Każdy i tak w mniejszym wymiarze go potrzebuje, aby wzmacniać swoje ciało.

To jasne, że próbujemy sportu w kontekście rehabilitacyjnym. Coś jednak musi skusić, aby przyjść na zajęcia. Wystarczy zadzwonić lub napisać e-maila i zapaść się, w pozytywnym słowa znaczeniu. Trzeba wiedzieć, że ten e-mail czy telefon to nic strasznego. Z drugiej strony są osoby, które zdecydowanie się cieszą na tego typu wiadomości. Moim zdaniem to wejście jest najważniejsze. Dla przykładu w pływaniu potrzebny nam jest trener, a w rugby już cała drużyna i ktoś, kto będzie dmuchał w gwizdek. Punktem przełomowym jest ten początek, zapisanie się. Nie ma złotego środka. Bez tego nie poczujemy, czy chcemy przejść na profesjonalizm czy półprofesjonalizm. Jeśli przyjdziemy na halę na wózek lub do wody, to nie będziemy w tym momencie rozgraniczali sportu.

A jak w tym wszystkim popchnąć do działania rodziców? Co im podpowiedzieć?

Żeby chociaż raz zawieźli dziecko na trening, mimo zmęczenia po pracy i nastawienia na wieczorny odpoczynek na kanapie. Jeśli wasze dziecko wejdzie w rytm treningów, to potem samo będzie chciało na nie jeździć. A finalnie to razem z nim będziecie święcić sukcesy, bo to wy dołożyliście swoją cegiełkę w szukaniu miejsca, które pokochali.

Działasz w Warszawie, która ma zdecydowanie większe możliwości, niż inne miasta czy miasteczka w Polsce. Odległość w sporcie ma znaczenie?

Ja całe życie dojeżdżałem na treningi z Legionowa do Warszawy. Czasami trudniej mi było dostać się z Legionowa na AWF, niż przejechać 60 km z domu do innego miasta. Nie mówię tutaj o rugby na wózkach, które rozwija się obecnie w Warszawie, Poznaniu, Rzeszowie, Lublinie, Częstochowie, Bydgoszczy i na Śląsku. Wydaje mi się jednak, że w pływaniu łatwiej znaleźć klub z sekcją dedykowaną niepełnosprawnym. Tutaj najbardziej potrzebna jest pomoc rodziców. Jeżeli ktoś ma chęć się odezwać, to będzie mógł przejechać nawet 100 km. Mój niedowidzący kolega z Rawy Mazowieckiej jeździł na AWF w Warszawie trzy razy w tygodniu, a jedna taka podróż w obie strony to 200 km. Jak się chce, to można.

Kto Ci pomagał na sportowej drodze, kiedy wskoczyłeś już na międzynarodowy poziom?

To, że mogę uprawiać sport, to, że mogę wyjeżdżać z kadrą, to, że mam sprzęt i mogę uczestniczyć w wielu wydarzeniach sportowych, nie mogłoby się obejść bez wsparcia, które dają ORLEN i Totalizator Sportowy. To najwięksi mecenasi, którzy nie tylko dofinansowują, ale przede wszystkim dostrzegają sportowców. Wychodzą z tego wspaniałe rzeczy w postaci medali olimpijskich czy paralimpijskich. Coś takiego daje spokój. Nie czujemy tego bezpośrednio przed występami, bo na zawodach się o tym nie myśli, ale dzięki tym funduszom funkcjonujemy jako kadry narodowe, mamy sprzęt i plany, w których jest otwarty wachlarz możliwości.

eprasa.pl 528e2659f7

PREZYDENTA POMYSŁ NA ZAWETOWANIE SAFE

Wszystko wskazuje na to, że prezydent Karol Nawrocki znalazł pretekst do zawetowania ustawy wprowadzającej unijny program SAFE. Pomógł mu w tym Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego. Obaj panowie ogłosili właśnie, że mają własny pomysł na dofinansowanie polskiej armii. Szybko doczekali się odpowiedzi premiera

Dorota Kowalska

FOT. ADAM JANKOWSKI

Donald Tusk o propozycji ws. prezydenckiego „SAFE 0 proc.": Proszę natychmiast podpisać ustawę o SAFE

Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej prezydent Karol Nawrocki pojawił się w towarzystwie prezesa NBP – Adama Glapińskiego. – Mamy dla SAFE konkretną, polską, bezpieczną i suwerenną alternatywę, która nie będzie wiązała się z żadnymi odsetkami finansowymi, więc jest to „SAFE 0 proc.". W tym pomogły oczywiście inwestycje, ale także zakup i kumulowanie polskiego złota przez Narodowy Bank Polski – stwierdził prezydent Nawrocki. Jak dodał, ma nadzieję, że rząd Donalda Tuska zechce wspólnie rozpocząć prace nad wewnętrznym programem dotyczącym obronności Polski. – Potrzebujemy z jednej strony zgody prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, z drugiej strony inicjatywy i zgody prezesa Narodowego Banku Polskiego (...) ale także zaangażowania polskiego rządu. W tym trójkącie, w tej współpracy, Polskę stać na to, aby wprowadzić polski SAFE 0 proc. – mówił Karol Nawrocki. I dodał, że będzie on lepszy dla Polskich Sił Zbrojnych niż SAFE europejski.

Adam Glapiński wtórował prezydentowi, on też podkreślał konieczność współpracy z kancelarią Prezesa Rady Ministrów przy „polskim SAFE 0 proc.".

– Warunkiem tego jest dobra współpraca z rządem, w szczególności z Ministerstwem Finansów oczywiście, który posiada bardzo dużo dobrych ekspertów. Myślę, że wspólnie utworzymy takie zespoły, które te prace szybko zaczną i szybko zakończą pozytywnym efektem – mówił Glapiński.Prezes NBP był pytany, z jakich aktywów rezerwowych bank centralny planuje sfinansować „SAFE 0 proc."

– Z żadnej części rezerw (...) nie możemy skorzystać, w tym sensie, że część rezerw zostanie przekazana, bo to jest wbrew prawu. (...) Przyjdzie czas na szczegóły, że będziemy je relacjonować – powiedział. – Na przykład zysk, w większości, w 95 proc. przekazujemy rządowi. On jest używany w określonym celu. W tym wypadku spodziewamy się, że w celu właśnie wzmacniania polskiej obronności – dodał Glapiński.

Jak mówił, „środki, które zostaną wykreowane, zostaną przekazane tak jak każe prawo rządowi, Funduszowi Wsparcia Sił Zbrojnych".

– I już jest kwestią innych ciał decyzyjnych jak zostaną wykorzystane. Naszym zadaniem byłoby tylko, żeby te środki przekazać. Na tym nasza rola się kończy. Będziemy nad tym pracować razem z ekspertami, fachowcami, decydentami od pana premiera Kosiniaka-Kamysza i od pana ministra finansów Andrzeja Domańskiego. I wtedy przekażemy opinii publicznej te już uzgodnione decyzje – zapowiedział szef NBP.

Szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki w rozmowie z Polsat News powiedział, że nie widzi przeciwwskazań, aby „SAFE 0 proc." był finansowany z rezerw walutowych NBP.

Według Boguckiego, NBP mógłby przekazać część rezerwy w złocie, która wynosi równowartość 74 miliardów euro.

– Dlaczego z tego nie skorzystać? Dlaczego wiązać sobie ręce warunkowością? – pytał retorycznie.

Jest jednak małe „ale". Analityk rynków finansowych Domu Inwestycyjnego Xelion Piotra Kuczyńskiego podaje w wątpliwość pomysł prezydenta i szefa NBP. – Art. 220 Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej mówi wyraźnie, że NBP nie może finansować swoimi środkami budżetu państwa. Gdyby NBP użył swoich środków do wspomagania sił zbrojnych, to byłoby niewątpliwie finansowanie z innych środków, które powinien sfinansować budżet państwa. Teoretycznie więc zrobić tego, zgodnie z konstytucją, prezes Glapiński nie może – powiedział ekspert w rozmowie z PAP. – Prezes Glapiński wspominał o jakiejś ustawie, ale ustawa nie może być niezgodna z konstytucją. Nie wiem więc, jak należałoby to zrobić; wiem natomiast, że takie pomysły pojawiają się na świecie – zwrócił uwagę Kuczyński.

Przypomniał, że premier Włoch Giorgia Meloni w ubiegłym roku musiała się mocno tłumaczyć w Europejskim Banku Centralnym. Jej ugrupowanie złożyło bowiem poprawkę do budżetu mówiącą, że złoto posiadane przez Bank Centralny Włoch jest własnością narodu włoskiego. – Wygląda to tak, jakby prezydent dostał prezent od prezesa Glapińskiego pod tytułem „oferujemy pogram SAFE 0 proc., w związku z tym mogę zawetować SAFE". Czy tak to jest, tego nie wiem – stwierdził Kuczyński.

Nie tylko Piotr Kuczyński ma takie wrażenie. Politolog dr Anna Materska-Sosnowska z Uniwersytetu Warszawskiego uważa, że propozycja obu panów może być próbą rozwiązania problemu wizerunkowego związanego z ewentualnym wetem prezydenta Karola Nawrockiego do ustawy o SAFE.

– To jest próba wyjścia z sytuacji, w jaką sam PiS się włożył, nawołując do weta wobec SAFE, i stara się w nią wciągnąć również prezydenta. Potencjalne weto nie ma uzasadnienia politycznego, bo 80 procent respondentów większości badań opowiada się za ustawą o SAFE, a nie przeciwko niej. Zatem nie będzie to wytłumaczalne, jeśli prezydent zawetuje ustawę – powiedziała .

Jej zdaniem PiS mógł „posłużyć się prezesem Glapińskim" jako formą nacisku na prezydenta, aby ten zawetował SAFE. Materska-Sosnowska zwraca uwagę, że z najnowszych badań zasięgów w sieci wynika, iż retoryką przeciwko SAFE PiS przebił w elektoracie antyeuropejskim Konfederację i Koronę Brauna, co sprawiło, że sprzeciw okazał się dla partii politycznie skuteczny.

– W związku z tym rozumiem, że prezes Jarosław Kaczyński usiłuje podporządkować sobie prezydenta, a porozumienie z Adamem Glapińskim służy również temu – oceniła politolog.

Trudno się zatem dziwić, że rząd z dystansem podchodzi do pomysłu z Pałacu Prezydenckiego na „SAFE 0 proc.".

– Program SAFE daje najszybsze i konkretne środki na modernizację polskiej armii dlatego wojskowi, przemysł zbrojeniowy oraz wszyscy, którym na sercu leży wzmocnienie siły naszej armii apelują i liczą na podpis pod ustawą przez prezydenta. Jeśli jednak pojawią się kolejne instrumenty finansowania armii, Wojsko Polskie tylko na tym zyska. Nie jako alternatywa dla SAFE, ale dodatkowe środki wzmacniające bezpieczeństwo – zareagował szef MON, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz.

Do propozycji prezydenta odniósł się również minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński. Przyznał, że dodatkowe środki na bezpieczeństwo są potrzebne, jednak zwrócił uwagę na brak szczegółów dotyczących planowanego programu.

– Ja nie wiem, Polacy nie wiedzą i chyba sam pan Glapiński też jeszcze nie wie – powiedział w TOK FM, pytany o źródła finansowania zapowiadanego projektu.

W jego ocenie podczas konferencji przedstawiono niewiele konkretów.

– To wygląda na hasło reklamowe, bo kredyt 0 proc. zawsze ładnie brzmi. Chwilówki też się tak reklamują (...) Oczekiwałbym od głowy państwa trochę poważniejszego komunikatu – stwierdził. Kierwiński podkreślił jednocześnie, że zwiększenie finansowania służb i armii jest potrzebne.

– Propozycja Karola Nawrockiego i Adama Glapińskiego ma cel czysto polityczny: stworzyć prezydentowi pretekst do tego, żeby wetować ustawę o SAFE – stwierdził z kolei w „Rozmowie Piaseckiego" w TVN24 minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak.

Do sprawy odniósł się także premier Donald Tusk.

- Panie prezydencie, panie prezesie, nie ma czasu na kombinacje. Polska i polskie firmy, polskie bezpieczeństwo czekają na pieniądze z programu SAFE na dziesiątki miliardy złotych. Fabryki już pracują pod ten program. Te pieniądze są na stole, do maja możemy zaplanować wydanie prawie 200 mld zł właśnie z tego projektu - mówił w opublikowanym w serwisach społecznościowych nagraniu. - Panowie, wokół jest wojna. Ta sytuacja wymaga najwyższej powagi i odpowiedzialności. Nie ma mowy o jakichś politycznych gierkach - podkreślił premier.

Wspomniał też o listach od prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego.

- Wczoraj słuchałem waszego wystąpienia z narastającym zdumieniem. Przede wszystkim ta oferta, ten pomysł, że Narodowy Bank Polski sfinansuje - alternatywnie dla SAFE - program zbrojeń na dziesiątki miliardów złotych. Słuchajcie, ja mam tutaj list prezesa NBP z grudnia, sprzed dwóch miesięcy, w którym pisze, że NBP poniósł straty w 2024, 2025 r. W 2024 ta strata przekroczyła 60 mld zł, a na koniec 2025 r. zbliżyła się do 100 mld zł. I co najważniejsze, pan prezes napisał drukowanymi literami: „Nie można również wykluczyć straty NBP w kolejnych latach". No to jak to jest? Albo dla naszych rządów pieniędzy nigdy nie było z NBP, bo są gigantyczne straty i nagle po wizycie u pana prezydenta pojawiają się jakieś cudowne możliwości - mówił premier Tusk.

I przedstawił prezydentowi Nawrockiemu oraz prezesowi NBP trzy postulaty ws. programu SAFE.

- Pierwszy, proszę natychmiast podpisać SAFE - tu nie można zmarnować ani godziny. Drugi postulat - precyzyjna informacja o faktycznych możliwościach finansowych NBP i o projekcie, jak wykorzystać te pieniądze. I trzeci postulat - niech to polskie złoto, bo to nie jest złoto panów Nawrockiego, Glapińskiego czy Tuska, które dzisiaj jest rozsiane po bankach w kilku miejscach na świecie wróci wreszcie do kraju - zakończył premier..**PAP**

eprasa.pl 528e2659f7

Jacek Sosnowski

Atomowe gry wojenne

W polskiej dyskusji publicznej regularnie zaczął powracać temat broni atomowej w kraju. Po tym, jak prezydent Andrzej Duda rzucił pomysł, by ją zbudować w Polsce, ta koncepcja ciągle powraca. Ostatnio jako element współpracy z Francją

50,9 proc. ankietowanych opowiedziała się za pozyskaniem przez Polskę broni jądrowej, 38,6 proc. badanych jest przeciw. 10,5 proc. Polaków nie ma zdania w tej sprawie - wynika z sondażu IBRiS dla Radia ZET.

Respondenci zostali zapytani czy według nich Polska powinna pozyskać broń jądrową. Odpowiedzi „zdecydowanie tak" udzieliło 20,9 proc. ankietowanych, odpowiedź „raczej tak" wskazało 30 proc.

Przeciwko temu rozwiązaniu opowiedziało się 38,6 proc. badanych. Na to pytanie „raczej nie" odpowiedziało 23,5 proc. respondentów, a „zdecydowanie nie" 15,1 proc. Z kolei 10,5 proc. ankietowanych nie ma zdania w tej sprawie.

W wyartykułowane w tym sondażu oczekiwania Polaków wpisała się przedstawiona w poniedziałek propozycja Emmanuela Macrona. Francuski prezydent na specjalnej konferencji w porcie nuklearnych okrętów podwodnych w Bretanii zapowiedział rozbudowę arsenału nuklearnego oraz objęcie tym parasolem części krajów europejskim, w tym Polski.

Do tej propozycji odniósł się premier Donald Tusk. Zabierając głos przed wtorkowym posiedzeniem rządu, poinformował, że jednym z punktów obrad Rady Ministrów jest informacja na temat prowadzonych z Francją rozmów w sprawie „zaawansowanego systemu odstraszania nuklearnego".

Jak powiedział szef rządu, kwestia ta konsultowana jest nie tylko z samą Francją, ale również z tymi państwami, które równocześnie z Polską wyraziły gotowość do współpracy i zostały zaproszone do udziału w projekcie. Poza Polską Macron wymienił siedem państw, tj.: Belgię, Danię, Grecję, Holandię, Niemcy, Szwecję i Wielką Brytanię.

FOT. PAP/EPA

Emmanuel Macron zapowiedził objęcie francuskim parasolem atomowym m.in. Polski

- Polska nie będzie chciała być pasywna, jeśli chodzi także o bezpieczeństwo nuklearne w kontekście militarnym - stwierdził premier. - Będziemy współpracowali z naszymi sojusznikami, w tym z Francją, która wyszła z tą konkretną ofertą, i wraz ze wzrostem własnych, naszych autonomicznych możliwości, będziemy także starali się przygotować Polskę w przyszłości do jak najbardziej autonomicznych działań w tej kwestii - zadeklarował szef rządu.

Sceptycznie do tego projektu odniósł się za to Karol Nawrocki. Komentując francuską propozycję podkreślił, że „warto byłoby, gdy ogłasza się współpracę w zakresie broni atomowej i broni jądrowej, z Paryżem, z Francją, to ważne byłoby - i to (jest skierowane) do polskiego rządu - aby w takiej sytuacji wtajemniczać w tego typu dyskusje zwierzchnika sił zbrojnych".

Zaznaczył, że współpraca z NATO i USA gwarantuje „pewien kompatybilny zakres bezpieczeństwa w Polsce i w Europie Środkowej i Wschodniej". - Muszę szczerze powiedzieć, że tego typu, często nerwowe ruchy ze strony prezydenta, którego serdecznie pozdrawiam, prezydenta Macrona, który za rok przestanie być prezydentem z przyczyn obiektywnych, we Francji, a z drugiej strony takie ad hoc odniesienia premiera Tuska w momencie, gdy mamy podpisany traktat z Nancy, nad którym pracowano 2 lata. I w nim nie było tego typu propozycji. Wyglądają w moim uznaniu, przy stabilnym sojuszu polsko-amerykańskim i przy działaniu NATO, te wszystkie zabiegi dla mnie, jako dla zwierzchnika sił zbrojnych, szczególnie że nie zostałem o tym poinformowany w jakimś konkretnej notatce, wyglądają zupełnie niepoważnie - powiedział Nawrocki. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY PGE BALTICA

0011484968

Na Bałtyku cała naprzód – miliardy mogą trafić do krajowych dostawców

Rozwój morskiej energetyki wiatrowej w Polsce nabiera tempa. Z portfelem projektów o największej łącznej mocy PGE Polska Grupa Energetyczna odgrywa jedną z kluczowych ról w tym procesie. W związku z jej inwestycjami na Bałtyku miliardy złotych mogą trafić w najbliższych latach do krajowych dostawców elementów i wykonawców usług. Już teraz stopniowo zwiększa się udział polskiego komponentu w rozwoju morskich farm wiatrowych.

Strategia Grupy PGE zakłada nie tylko budowę farm wiatrowych na Bałtyku, ale również systematyczne zwiększanie udziału krajowych firm w realizowanych projektach – tzw. local content. To naczynia połączone, bo z jednej strony cały program inwestycyjny morskiej energetyki wiatrowej w Polsce ma przełożyć się na pobudzenie rozwoju krajowego przemysłu. Z drugiej – więcej odnawialnych źródeł w miksie energetycznym przekłada się w długim okresie na stabilizację, a nawet obniżenie kosztów energii w porównaniu do obecnego miksu. A to pozytywnie wpływa na konkurencyjność gospodarki.

Czym jest „local content"?

Local content oznacza, że część wydatków na inwestycje w energetyce zostaje w kraju, trafiając do rodzimych przedsiębiorstw, które biorą udział w realizacji projektów. PGE dostrzega wśród polskich firm kompetencje, wykwalifikowaną kadrę oraz odpowiedni potencjał produkcyjny niezbędne do rozwoju morskiej energetyki wiatrowej na Bałtyku. Na każdym etapie rozwoju projektów offshore wind PGE korzysta z potencjału krajowych przedsiębiorstw, instytucji badawczych oraz wiedzy rodzimych specjalistów. W projektach morskich farm wiatrowych Grupy PGE udział polskich podmiotów już dziś mieści się w przedziale 20-30%, a celem jest jego systematyczne zwiększanie.

Jest to też cel strategiczny Grupy PGE – do 2035 roku wartość zamówień realizowanych przez krajowe podmioty w ramach wszystkich inwestycji, w tym w OZE, może przekroczyć aż 150 mld zł. Obejmuje to zarówno kontrakty na usługi budowlane i montażowe, dostawy technologii i komponentów, jak i długoterminową obsługę serwisową.

Stalowe elementy fundamentów dla morskiej farmy wiatrowej Baltica 2 powstają w zakładach produkcyjnych w Polsce.

FOT. BALTICA 2

Porozumienie sektorowe – fundament współpracy

Wysiłki na rzecz zwiększenia local content zostały sformalizowane w ramach Polish Offshore Wind Sector Deal – tzw. porozumienia sektorowego. Dokument ten wyznacza kierunki rozwoju krajowego łańcucha dostaw i wspiera maksymalizację udziału polskich firm w budowie i eksploatacji morskich farm wiatrowych, ale też wskazuje cele local content dla offshore wind w Polsce – 20-30% dla I fazy i ponad 45% dla II fazy. W 2025 roku podpisano dodatkowo deklarację na rzecz zwiększenia udziału polskich firm w realizacji drugiej fazy projektów morskiej energetyki wiatrowej na Morzu Bałtyckim, której jednym z sygnatariuszy była PGE.

PGE Baltica oferuje nowe możliwości

Rozwój projektów, budowa, a następnie eksploatacja morskich farm wiatrowych to zadanie spółki PGE Baltica z Grupy PGE. Działa w niej zespół ds. local content, którego zadaniem jest aktywne poszukiwanie możliwości włączania polskich firm do łańcucha dostaw offshore wind – głównie poprzez edukację dostawców i dialog z rynkiem i nowoczesne formy współpracy, np. dyżury informacyjne dla potencjalnych dostawców. W ramach najbardziej zaawansowanego projektu PGE – morskiej farmy wiatrowej Baltica 2 – krajowi dostawcy są obecni na każdym etapie: od przygotowania poprzez udział w produkcji komponentów. A w perspektywie jest jeszcze wieloletni okres eksploatacji farmy. Polskie zakłady produkują niezbędne wyposażenie fundamentów turbin oraz morskich stacji transformatorowych, wykorzystując stal z polskich hut. Krajowe firmy stawiają lądową stację transformatorową i odpowiadają za infrastrukturę przyłączeniową. Generalni wykonawcy z Pomorza budują terminal instalacyjny w Gdańsku i bazę operacyjno-serwisową w Ustce. Firmy logistyczne z Polski transportują komponenty. Dla projektów offshore PGE będących obecnie we wcześniejszej fazie rozwoju krajowi przedsiębiorcy wykonywali niezbędne badania na lądzie i morzu.

Baltica 2 coraz bliżej, Baltica 9 na horyzoncie

Projekt Baltica 2 – realizowany przez PGE we współpracy z Ørsted – wszedł już w fazę budowy na morzu. Stawianie fundamentów dla turbin tej morskiej farmy wiatrowej planowane jest na drugi kwartał 2026 roku. Trwają jeszcze prace przygotowujące dno morskie do tego etapu instalacji. Kształtów nabiera baza operacyjno-serwisowa w Ustce. Półmetek przekroczyła budowa lądowej infrastruktury przyłączeniowej w gminie Choczewo. Postępuje produkcja kluczowych komponentów. Dzięki 107 turbinom o łącznej mocy 1,5 GW morska farma wiatrowa Baltica 2 będzie produkować tyle energii elektrycznej, ile zużywa ok. 2,5 mln domów.

W wyniku pierwszej aukcji dla morskich farm wiatrowych w Polsce PGE otrzymała gwarancję wsparcia dla projektu Baltica 9. Dzięki temu Grupa PGE zaplanowała zbudowanie do 2032 roku kolejnej morskiej farmy wiatrowej – tym razem o mocy ok. 1,3 GW. Przy realizacji tego przedsięwzięcia szczególny nacisk zamierza położyć na włączenie do łańcucha dostaw polskich dostawców, aby zapewnić stabilność rozwoju local content.

eprasa.pl 528e2659f7

- Putin może czuć się zadowolony z obrotu rzeczy w Iranie. Na froncie Rosja nie odnosiła zbyt wielu sukcesów. Teraz to może ulec zmianie - mówi Harry Nedelcu, specjalista od geopolityki, dyrektor Rasmussen Global, firmy konsultingowej założonej przez byłego sekretarza generalnego NATO Andersa Fogha Rasmussena

Agaton Koziński

EKSPERT: ATAKUJĄC IRAN, TRUMP POPEŁNIŁ BŁĄD W KALKULACJI

FOT. PAP/EPA/SAMUEL CORUM / POOL

Nedelcu: Wygląda na to, że rozbicie władzy w Iranie będzie znacznie trudniejsze, niż początkowo sądził Trump. Im dłużej reżim utrzymuje się u władzy, tym mniej prawdopodobne jest, że sytuacja potoczy się zgodnie z pierwotnymi oczekiwaniami - że ludzie wyjdą na ulice i przejmą władzę

Co Donald Trump chciał osiągnąć, atakując Iran?
Opieramy się głównie na jego oświadczeniu, choć myślę, że wyraził się w nim naprawdę jasno.

„Dzięki miażdżącej dominacji i niszczycielskiej sile nasi żołnierze systematycznie likwidują zdolność irańskiego reżimu do ponownego zagrożenia Ameryce, naszym sojusznikom i bezpieczeństwu światowemu" – napisano w oświadczeniu.
USA przede wszystkim dążą do tego, żeby reżim rządzący w Iranie zaprzestał prac nad własnym programem jądrowym. Te cele są zgodne z celami rządu Izraela.

Podobnie jak to było w czasie „wojny dwunastodniowej" w połowie ubiegłego roku.
Tak – tylko że wtedy USA i Izrael skupiły się na irańskim programie jądrowym, chciały go zniszczyć, albo przynajmniej poważnie osłabić. Tym razem widać, że akcja przeciwko Iranowi jest dużo szersza. To reakcja Trumpa na to, że Teheran dążył do odbudowy swojego programu nuklearnego. Wyciągnęli wnioski z poprzedniej interwencji. Uznali, że atak z czerwca poprzedniego roku był zbyt mało efektywny, więc teraz rozpoczęli dużo szerszą operację.

Gdy Donald Trump objął władzę w styczniu ubiegłego roku, dominowało przekonanie, że będzie realizował izolacjonistyczną politykę „America First". Gdy w styczniu wywiózł z Wenezueli Nicolása Maduro, natychmiast podniosły się głosy, że realizuje założenia „doktryny Monroe" – umacniania pozycji USA na półkuli zachodniej. Jak w tę logikę wpisuje się atak na Iran? Co to mówi o priorytetach Trumpa?
Dokładnie te same pytania zadaje sobie wiele osób w Partii Republikańskiej. Czuć w nich potrzebę jakiegoś logicznego uzasadnienia sekwencji zdarzeń ostatnich miesięcy, poruszania się według jakiegoś spójnego scenariusza, zapisanego na przykład w doktrynie Monroe. Ale tak naprawdę Trump nie postrzega rzeczywistości w ten sposób.

Sam mówił po operacji w Wenezueli, że działał zgodnie z „doktryną Donroe" – czyli uaktualnionej przez niego doktryną Monroe.
Ale teraz widać, że metody działania skręciły w zupełnie inną stronę. Zasadniczo obserwujemy dokładnie tę samą sprzeczność, którą można dostrzec wewnątrz świata MAGA. Proszę przyjrzeć się reakcjom Amerykanów na wojnę w Iranie. Z jednej strony mamy lewicę, która oczywiście jest przeciwna tej

eprasa.pl 528e2659f7

interwencji. Z drugiej strony mamy prawicę, która również jest przeciwna tej interwencji. Trump musi lawirować między tymi dwoma skrzydłami. Wszystko wskazuje na to, że on liczył na to, że operacja w Iranie będzie szybka i chirurgiczna – uda się szybko pozbawić kraj przywództwa i na tym się skończy.

Rzeczywiście, przywódców reżimu ajatollahów udało się szybko wyeliminować.
Ale jednocześnie sam reżim utrzymał kontrolę nad krajem. I teraz widzimy, jak sytuacja wymyka się spod kontroli, coraz bardziej się komplikuje. A Amerykanie nie mają teraz możliwości wycofania się, muszą brnąć w to dalej. Podważa to zdolność Trumpa do wycofania się, on nie może powiedzieć: „Udało się, skończyliśmy".

Ale podczas spotkania w Białym Domu z Friedrichem Merzem mówił, jakby Amerykanie właściwie już w Iranie kończyli – zapewniał, że niedługo dojdzie do całkowitego rozbicia irańskich zdolności wojskowych.
On robił podobnie już w przeszłości. Po prostu wychodził i mówił: „OK, osiągnęliśmy nasze cele". Trump może tak robić, to w jego stylu. Oczywiście, że w tej metodzie jest sprzeczność. On sprawia wrażenie, jakby ona dla niego nie stanowiła jakiejś przeszkody. Ale jeśli nie zakończy szybko działań w Iranie, to zaszkodzą mu one przed wyborami połówkowymi zaplanowanymi na listopad.

Spodziewa się Pan, że konflikt irański może potrwać jeszcze siedem miesięcy?
Widać, że Trump popełnił błąd w kalkulacji. A mówiąc bardziej precyzyjnie, dwa błędy. Pierwszym z nich było założenie, że irański reżim może po prostu upaść – tak jak zwykle upadają dyktatury. Dyktatura upada, gdy odetnie się głowę przywódcy. Już widzimy jednak, że w Iranie do tego nie doszło.

Bo Iran to nie Wenezuela.
Natomiast drugim błędnym założeniem było przekonanie, że Iran straci zdolności do prowadzenia walki. Irański reżim ma jedną wyraźną przewagę pod tym względem nad USA i Izraelem: ich działania są tańsze niż te podejmowane przez Stany Zjednoczone. Ta zmienna jest bardzo ważna w obecnej sytuacji. Zresztą podobną sytuację widzimy w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, choć oczywiście w innych proporcjach. Rosja podważa bezpieczeństwo Europy także dlatego, że dla niej prowadzenie wojny jest wyraźnie tańsze niż dla krajów europejskich.

Wróćmy jeszcze do Iranu. Pan mówi, że Amerykanie źle oszacowali szansę zmiany rządzącego reżimu w tym kraju. Ale słuchałem wypowiedzi sekretarza wojny Pete'a Hegsetha. On jasno mówił, że USA nie zamierzają angażować się w żadne akcje typu „budowa demokratycznych struktur w tym kraju", działania typu „budowanie narodu". Ameryka chce jedynie doprowadzić do sytuacji, w której Iran nie jest w stanie zagrozić innym. Możliwe jest osiągnięcie tego celu? Czy odwrotnie – USA utknęły w kolejnej niekończącej się wojnie?
Jego słowa odbieram jako próbę zmianę zasad gry w trakcie rozgrywki. Od pierwszego dnia wojny widać było, że Amerykanom zależy na jak najszybszym jej zamknięciu. Ale kilka dni później stało się jasne, że szybkie rozwiązanie nie będzie możliwe, to nie skończy się na błyskawicznej interwencji. Dlatego teraz obserwujemy próbę przedefiniowania celów, tak interpretuję te wypowiedzi. Wyraźnie widać, że Amerykanie nie docenili Irańczyków. Być może analogia jest zbyt daleko idąca, ale po nią sięgnę – sytuacja wygląda do pewnego stopnia podobnie jak na Ukrainie, gdzie Putin też myślał, że w trzy dni przejmie kontrolę nad tym krajem. Tak samo Trump myślał, że jednym uderzeniem zniszczy cały aparat przywódczy Iranu. Dziś widać, że mamy do czynienia z ewidentną pomyłką w ocenie sytuacji.

Trump od samego początku podkreśla, że to irańskie społeczeństwo samo wymusi zmianę na szczytach władzy w ich kraju – USA nie chcą do tego przykładać ręki. Irańczycy nie są w stanie tego dokonać?
Trudno to ocenić, ponieważ tak naprawdę bardzo niewiele wiemy o społeczeństwie irańskim. Właściwie pewne jest tylko jedno: chyba w żadnym innym kraju nie ma większego rozziewu między władzą a obywatelami. Irańczycy całkowicie nie zgadzają się z doktrynami narzucanymi im przez ajatollahów. Ta niezgodność była widoczna wielokrotnie przez ostatnie ponad 20 lat. Ale czy jest ono wystarczająco silne i wystarczająco zdeterminowane, by wymusić głębokie zmiany? Tego nie wiemy. Pytanie brzmi, czy Trump zdoła na tyle osłabić Gwardię Rewolucyjną, żeby Irańczycy zyskali swobodę ruchów.

Amerykańskie naloty regularnie uderzają w posterunki policji, kwatery Gwardii Rewolucyjnej, czy siedziby Brygad Imama Alego, szyickiej organizacji paramilitarnej, która w Iranie zajmuje się tłumieniem zamieszek.
Pytanie, czy te ataki pozwolą na tyle osłabić te jednostki, aby społeczeństwo mogło całkowicie przejąć władzę. Trzeba pamiętać, że w Iranie funkcjonuje bardzo złożony i wyrafinowany aparat represji wewnątrz kraju. Jak on jest złożony, najlepiej potwierdza fakt, że udało mu się przetrwać ostatnie dni ataków. Wygląda na to, że rozbicie go będzie znacznie bardziej skomplikowane i trudniejsze, niż początkowo sądził Trump. Im dłużej reżim utrzymuje się u władzy, tym mniej prawdopodobne jest, że sytuacja potoczy się zgodnie z pierwotnymi oczekiwaniami – że ludzie wyjdą na ulice i przejmą władzę. Proszę pamiętać, że ludzie reżimu walczą o własne życie. Po tych wszystkich zbrodniach, które popełnili, wiedzą, że nie ma dla nich żadnego wyjścia. Gdyby zostali złapani, usłyszą bardzo surowe wyroki przed sądami. Dlatego będą się bronić do końca.

Gdy USA wcześniej interweniowały w rejonie w Azji – w Afganistanie czy w Iraku – uzgadniały te działania z sojusznikami z Europy. Tym razem tego nie zrobili. Europa jest tak słaba, że jako sojusznik straciła na znaczeniu, czy traktuje to Pan raczej jako przejaw arogancji Waszyngtonu?
Szczerze mówiąc, to pytanie wydaje mi się kluczowe: gdzie w tym wszystkim jest Europa? Odpowiedź składa się z kilku wątków. Jeden z nich dotyczy możliwości militarnych Europy, które są mniej więcej takie jak rok temu. Na kontynencie cały czas brakuje kluczowych decyzji umożliwiających dbanie o własne bezpieczeństwo. To problem. Stanie się jeszcze bardziej widoczny, gdy Amerykanie ogłoszą, że zaczynają powoli wycofywać się z Europy. Drugi element dotyczy polityki. Europa pod wieloma względami została zaskoczona politycznie. Niby wie, że Ameryka w mniejszym stopniu angażuje Europę w swoje geopolityczne i strategiczne przedsięwzięcia, ale mimo to ma problem z reakcją. Europa musi być w stanie bardziej zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Słyszymy to od lat – póki co z niewielkimi zmianami w stanie faktycznym.
Aby ten stan rzeczy uległ zmianie, musimy zadać sobie naprawdę trudne pytanie: co jest potrzebne, aby wypełnić krytyczne luki? Ale także: ile to będzie kosztowało? To pytanie pojawiło się już, gdy Rosja najechała Ukrainę. Wróciło, gdy pojawiły się zapowiedzi wycofania się Stanów Zjednoczonych z Europy. Obecna eskalacja dość blisko naszych granic tylko potęguje wagę tych pytań. Europa musi przeprowadzić bardzo poważną rozmowę na ten temat.

Ciągle tego typu projekty są w czasie przyszłym, brakuje fazy wykonawczej.
Jest też element, nad którym Europa powinna się zastanowić w kontekście Ukrainy. Ameryka prawdopodobnie będzie zaangażowana w długotrwały konflikt z Iranem, zobaczymy, na ile jej starczy amunicji. Na pewno będzie miała mniej do zaoferowania Europie, w tym Ukrainie – a przecież USA w niektórych obszarach są nie do zastąpienia, na przykład w kwestii broni przeciwlotniczej, rakiet dalekiego zasięgu, itp. Pod tym względem Europa ma wiele do nadrobienia.

Jak według Pana odebrano na Kremlu atak na Iran?
Putin czuje się z tym świetnie. Owszem, pierwsze komentarze mówiły, że los, który spotkał najpierw Maduro, a potem Chameneiego, był wiadomością dla Putina. Tak jednak nie było. To nie jest nawet porównywalne. Ameryka nigdy nie zdobyłaby się na taki krok wobec takiego przywódcy jak Putin. Nie mogłaby, to zbyt ryzykowne, zbyt wiele. Choć faktem jest, że teraz bliski sojusznik Putina walczy o życie.

Bez żadnej gwarancji, że z walki wyjdzie zwycięsko.
Mogłoby się wydawać, że Putin w tej walce powinien go wspierać. Ale tak naprawdę nie jest to dla niego korzystne. Sytuacja w Iranie odwraca uwagę Ameryki i Europy od wojny na Ukrainie, zabiera zasoby, które mogły wspomóc Ukraińców walczących w Donbasie. Ta sytuacja podważa również bezpieczeństwo Ukrainy. Putin może czuć się zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Na froncie Rosja nie odnosiła zbyt wielu sukcesów. Teraz to może ulec zmianie.

REKLAMA 0011461412

REKLAMA 0011470602

eprasa.pl 528e2659f7

KARD. PAROLIN: WOJNY PREWENCYJNE GROŻĄ PODPALENIEM ŚWIATA

– Naprawdę niepokojące jest to osłabienie prawa międzynarodowego: sprawiedliwość została zastąpiona przez siłę – kardynał Pietro Parolin, sekretarz stanu, mówi mediom watykańskim Vatican News o trwającej wojnie na Bliskim Wschodzie i wzajemnych ostrzałach

Andrea Tornielli

Eminencjo, jak przeżywa Ksiądz te dramatyczne godziny?
Z wielkim bólem, ponieważ narody Bliskiego Wschodu, w tym już kruche wspólnoty chrześcijańskie, ponownie pogrążyły się w horrorze wojny, która brutalnie przerywa ludzkie życie, powoduje zniszczenia i wciąga całe narody w spirale przemocy o niepewnych skutkach.
W ubiegłą niedzielę podczas modlitwy Anioł Pański papież mówił o „tragedii o ogromnych rozmiarach" oraz o ryzyku „nieodwracalnej przepaści". Są to słowa więcej niż wymowne, by opisać chwilę, którą obecnie przeżywamy.

Co Eminencja sądzi o amerykańsko-izraelskim ataku na Iran?
Uważam, że pokój i bezpieczeństwo powinny być pielęgnowane oraz realizowane przez możliwości oferowane przez dyplomację, zwłaszcza tę prowadzoną w ramach organizacji wielostronnych, gdzie państwa mają możliwość rozwiązywania konfliktów w sposób bezkrwawy i bardziej sprawiedliwy. Po II wojnie światowej, która pochłonęła około 60 milionów ofiar, ojcowie założyciele, tworząc Organizację Narodów Zjednoczonych, chcieli oszczędzić swoim dzieciom okropności, których sami doświadczyli. Dlatego w Karcie ONZ zawarli jasne wskazania dotyczące zarządzania konfliktami. Dziś te wysiłki wydają się być zaprzepaszczone. Co więcej, jak przypomniał papież korpusowi dyplomatycznemu na początku roku, „dyplomację promującą dialog i poszukującą zgody wszystkich zastępuje dyplomacja siły, pojedynczych państw lub grup sojuszników" i uważa się, że pokój można osiągnąć „za pomocą broni". Gdy mówi się o przyczynach wojny, trudno jednoznacznie określić, kto ma rację, a kto się myli. Pewne jest natomiast, że wojna zawsze przynosi ofiary i zniszczenia oraz wywołuje niszczące skutki dla ludności cywilnej. Dlatego Stolica Apostolska woli przypominać o konieczności wykorzystania wszystkich narzędzi oferowanych przez dyplomację w celu rozwiązywania sporów między państwami. Historia już nas nauczyła, że tylko polityka – przez trud negocjacji oraz dbałość o równowagę interesów – może budować zaufanie między narodami, wspierać rozwój i zachowywać pokój.

Uzasadnieniem ataku miało być powstrzymanie produkcji nowych rakiet, czyli w istocie „wojna prewencyjna"…
Jak wskazuje Karta ONZ, użycie siły powinno być traktowane wyłącznie jako ostateczność i wyjątkowo poważny środek, po wyczerpaniu wszystkich narzędzi dialogu politycznego i dyplomatycznego, po starannej ocenie konieczności i proporcjonalności, w oparciu o rzetelne ustalenia i uzasadnione motywy, zawsze w ramach wielostronnego systemu zarządzania. Gdyby państwom przyznać prawo do „wojny prewencyjnej" według własnych kryteriów i bez ponadnarodowych ram prawnych, cały świat mógłby stanąć w ogniu. Naprawdę niepokojące jest to osłabienie prawa międzynarodowego: sprawiedliwość została zastąpiona przez siłę, siłę prawa zastąpiło prawo siły, z przekonaniem, że pokój może narodzić się dopiero po unicestwieniu wroga.

Jaką wagę mają masowe demonstracje uliczne z ostatnich tygodni, stłumione krwawo w Iranie? Czy można o nich zapomnieć?
Z pewnością nie, także to było powodem głębokiego niepokoju. Aspiracje narodów muszą być brane pod uwagę i gwarantowane w ramach porządku prawnego społeczeństwa, które zapewnia wszystkim możliwość swobodnego i publicznego wyrażania swoich poglądów – dotyczy to również drogiego narodu irańskiego. Jednocześnie można zapytać, czy naprawdę uważa się, że rozwiązanie może nadejść przez wystrzeliwanie rakiet i zrzucanie bomb.

Dlaczego prawo międzynarodowe i dyplomacja przeżywają dziś taki kryzys?
Osłabła świadomość, że dobro wspólne rzeczywiście służy wszystkim, że dobro drugiego jest także moim dobrem, a zatem sprawiedliwość, dobrobyt i bezpieczeństwo urzeczywistniają się w takiej mierze, w jakiej wszyscy mogą z nich korzystać. Zasada ta leży u podstaw powstania systemu wielostronnego oraz odważnych projektów, takich jak Unia Europejska. Ta świadomość osłabła, a w jej miejsce wzrósł apetyt na realizację własnych interesów. Ma to także inną konsekwencję: system dyplomacji wielostronnej w relacjach między państwami przeżywa głęboki kryzys, między innymi z powodu nieufności państw wobec zobowiązań prawnych ograniczających ich działania. Taka po-

REKLAMA 0011485335

eprasa.pl 528e2659f7

FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS

Kardynał Parolin: Gdyby państwom przyznać prawo do „wojny prewencyjnej" według własnych kryteriów i ram prawnych, cały świat mógłby stanąć w ogniu

stawa jest drugą stroną woli potęgi: pragnienia działania bez ograniczeń, narzucania innym własnego porządku, unikania dramatycznego, ale szlachetnego trudu polityki – opartej na dyskusji, negocjacjach, korzyściach dla siebie i ustępstwach wobec innych. Niebezpiecznie umacnia się multipolaryzm charakteryzujący się prymatem siły i autoreferencyjnością. Niestety, podważa się takie zasady, jak samostanowienie narodów, suwerenność terytorialną czy reguły regulujące samą wojnę (ius in bello). Kwestionowany i stopniowo odkładany jest cały dorobek prawa międzynarodowego w dziedzinach takich jak rozbrojenie, współpraca rozwojowa, poszanowanie praw podstawowych, własność intelektualna oraz wymiana i tranzyt handlowy. A przede wszystkim wydaje się, że zagubiono świadomość tego, co już w 1795 roku pisał Immanuel Kant: „Naruszenie prawa w jednym miejscu na Ziemi odczuwane jest we wszystkich miejscach". Jeszcze poważniejsze, pod pewnymi względami, jest powoływanie się na prawo międzynarodowe w zależności od własnej wygody.

Do czego Eminencja się odnosi?

Mam na myśli to, że są sytuacje, w których społeczność międzynarodowa oburza się i mobilizuje, oraz takie, w których nie reaguje albo czyni to znacznie słabiej, sprawiając wrażenie, że istnieją naruszenia prawa, które należy sankcjonować, i inne, które można tolerować; ofiary cywilne, nad którymi należy ubolewać, i inne, które uznaje się za „straty uboczne". Nie ma ofiar kategorii A i kategorii B, ani ludzi, którzy mają większe prawo do życia tylko dlatego, że urodzili się na jednym kontynencie, a nie na innym, czy w określonym kraju. Chciałbym podkreślić znaczenie międzynarodowego prawa humanitarnego, którego przestrzeganie nie może zależeć od okoliczności ani od interesów militarnych czy strategicznych. Stolica Apostolska stanowczo potwierdza swoje potępienie wszelkich form angażowania ludności cywilnej i obiektów cywilnych – takich jak domy, szkoły, szpitale czy miejsca kultu – w operacje wojskowe oraz domaga się, aby zawsze chroniono zasadę nienaruszalności godności ludzkiej i świętości życia.

Jakie krótkoterminowe perspektywy Eminencja widzi dla tego nowego kryzysu?

Mam nadzieję i modlę się, aby apel o odpowiedzialność, który papież Leon XIV skierował w ubiegłą niedzielę, został przyjęty i poruszył serca tych, którzy podejmują decyzje. Oby jak najszybciej ucichł zgiełk broni i powrócono do negocjacji. Nie wolno pozbawiać sensu samych negocjacji: konieczne jest danie im odpowiedniego czasu, aby mogły przynieść konkretne rezultaty, działając z cierpliwością i determinacją. Musimy ponadto uznać, że porządek międzynarodowy uległ głębokiej zmianie w porównaniu do tego, który został nakreślony osiemdziesiąt lat temu wraz z powstaniem ONZ. Bez nostalgii za przeszłością trzeba przeciwdziałać wszelkim próbom delegitymizacji instytucji międzynarodowych oraz wspierać umacnianie norm ponadnarodowych, które pomagają państwom pokojowo rozwiązywać spory przez dyplomację i politykę.

Jaka nadzieja pozostaje wobec tego wszystkiego?

Chrześcijanie mają nadzieję, ponieważ ufają Bogu, który stał się Człowiekiem, który w Getsemani nakazał Piotrowi schować miecz do pochwy i który na Krzyżu osobiście doświadczył grozy ślepej i bezsensownej przemocy. Mają nadzieję także dlatego, że mimo wojen, zniszczeń, niepewności i powszechnego poczucia zagubienia z wielu miejsc świata wciąż wznoszą się głosy domagające się pokoju i sprawiedliwości.Nasze narody pragną pokoju! Ten apel powinien wstrząsnąć rządzącymi i wszystkimi działającymi w sferze relacji międzynarodowych, skłaniając ich do pomnażania wysiłków na rzecz pokoju.

CV

FOT. ERIC VANDEVILLE/ABACA/ABACA/EAST NEWS

Kard. Pietro Parolin
Doktor prawa kanonicznego, dyplomata. Sekretarz stanu Watykanu (odpowiednik ministra spraw zagranicznych) od 2013 roku. Członek Rady Kardynałów od 2014 roku.

REKLAMA 0011478606

eprasa.pl 528e2659f7

Kadłub, Mława, Jelenia Góra, warszawski Wawer. Statystyki policyjne nie pozostawiają złudzeń: coraz więcej młodych ludzi popełnia najcięższe przestępstwa: mordu i gwałtu. Często w sposób niezwykle brutalny. Bywa, że swoimi dokonaniami nastolatkowie chwalą się potem w internecie, bo to właśnie w sieci toczy się dziś duża część ich życia – spotykają się tam, zakochują, doświadczają emocji

Dorota Kowalska

MŁODZI: CORAZ BARDZIEJ BRUTALNI, CORAZ BARDZIEJ BEZWZGLĘDNI

Kadłub, niewielka wieś w woj. opolskim. Kilka domów wzdłuż asfaltowej drogi, naokoło pola. W czwartek, 26 lutego, około godz. 4.00 rano policjanci z Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości znaleźli w sieci nagranie. Dramatyczne. Film zbrodni.

Szybko trafili do Kadłuba, to tu miał mieszkać jego autor. W budynku odkryli ciała 87-letniej kobiety i 38-letniego mężczyzny. Mieszkało w nim pięć osób: małżeństwo, starsza matka kobiety i jej 17-letni syn, Łukasz G. W dniu zbrodni w domu było trzech lokatorów. Matka nastolatka przebywała w szpitalu na planowanym zabiegu. Nie żyli ojczym i babcia chłopca. Oboje zabił siekierą.

Po kilku godzinach obławy policjanci odnaleźli i zatrzymali Łukasza G.

– Do zatrzymania nastolatka doszło kilka minut po godzinie 13 w powiecie krapkowickim. Mężczyzna ukrywał się w zaroślach. W chwili zatrzymania nie był uzbrojony, nie stawiał oporu. Był spokojny i niczego nie wyjaśniał. 17-latek został doprowadzony do strzeleckiej komendy – podała w czwartek 26 lutego podkomisarz Marta Białek z Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu.

Nastolatek przyznał się do popełnienia zbrodni.

– Nie przedstawił żadnego konkretnego motywu, którym się kierował. Wspominał natomiast o pewnych zdarzeniach związanych z jego sytuacją zawodową i szkolną, które wystąpiły w ostatnim czasie w jego życiu – mówił prokurator Piotr Krzemionka-Kowalski.

Chłopcu grozi co najmniej 15 lat pozbawienia wolności. Jest niepełnoletni, więc nie może dostać dożywocia.

Jak przekazał prokurator, na tym etapie nie ma podejrzeń co do złego stanu psychicznego Łukasza G. Nastolatek nigdy nie leczył się psychiatrycznie, zostanie jednak przebadany. Weryfikowane są również nagrania, które zostały opublikowane w sieci. Łukasz G. nie kwestionuje ich autentyczności.

Wiadomo, że najpierw ćwiczył ciosy siekierą w przydomowym garażu. Potem ustawił kamerę w pokoju i zaatakował babcię i ojczyma. Ofiary nie mogły się bronić, spały. Łukasz G. zadawał ciosy tak, żeby zabić. Potem upublicznił kilka brutalnych filmów na portalu społecznościowym. Na nagraniach widać nie tylko moment zabójstwa, ale to, jak 17-latek smakuje krew, liżąc siekierę. Film był rozsyłany WhatsAppem i Messengerem.

Użytkownicy popularnego portalu Wykop.pl przyjrzeli się cyfrowym śladom pozostawionym przez 17-latka. Według ich ustaleń, miał posługiwać się w sieci co najmniej kilkoma pseudonimami: „Herkowskyyy" oraz „nozownik555sigma". W jednym z wpisów opublikowanych w sieci dokładnie w dniu morderstwa zapowiedział: „MOJA RODZINA BĘDZIE DZIŚ MARTWA".

Ktoś nie dowierzał. Dostał taką odpowiedź (zachowujemy oryginalną pisownię): „CZYTAJ JUTRO NEWS, ZABÓJCA RODZINNY JUTRO NA NEWS, JA ZABIJE SWOJA RODZINE".

Sprawa zabójstwa w Kadłubie zszokowała nie tylko policjantów czy okolicznych mieszkańców, także polityków.

Robert Biedroń podkreślił, że media społecznościowe zostały dosłownie zalane makabrycznymi nagraniami z egzekucji, którą 17-latek nagrał tylko po to, by pokazać ją światu. Łukasz G. już wcześniej wykazywał w internecie chorobliwą fascynację przemocą i zabijaniem.

– Ta sprawa bardzo mnie przejęła, bo wiem, że tę tragedię można było zatrzymać. Wystarczy zacząć traktować cyfrowy świat tak samo jak ten nasz materialny. Internet nie może być dłużej wolną amerykanką dla przestępców, którzy mając poczucie bezkarności, szerzą nienawiść i patologię – mówił Robert Biedroń.

I zaapelował o natychmiastowe wdrożenie aktu o usługach cyfrowych.

To drugie podwójne morderstwo, do którego doszło w województwie opolskim tego dnia. W Sadach pod Niemodlinem policjanci wysłani do interwencji w jednym z domów znaleźli zwłoki 24-latki i jej 29-letniego znajomego. Na strychu domu ukrywał się 29-letni brat zamordowanej kobiety. Mężczyzna podczas zatrzymania zaatakował policjanta. Śledczy zarzucają mu zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem.

Młodzi w gangach

Statystyki policyjne nie pozostawiają złudzeń: coraz więcej młodych ludzi, często nastolatków, popełnia najcięższe przestępstwa: mordu i gwałtu. Młodzi są przy tym coraz bardziej brutalni, agresywni, źli. I nie jest to tylko problem Polski.

Według policyjnych statystyk z 2024 roku, do których dotarł tygodnik „Der Spiegel", brutalna przestępczość w Niemczech osiągnęła nowy rekord od 2010 roku.

Według magazynu wzrost liczby przestępstw z użyciem przemocy wśród nieletnich był szczególnie znaczący: powiększył się o 11,3 proc. wśród dzieci i 3,8 proc. wśród młodzieży. Jednym z powodów może być coraz większy stres psychiczny, który wraz z „innymi niekorzystnymi czynnikami" zwiększa prawdopodobieństwo, że ktoś stanie się sprawcą, pisze „Der Spiegel". Liczba gwałtów, poważnych napaści na tle seksualnym i wymuszeń również znacznie wzrosła – do 13 320 przypadków, czyli o 9,3 procent.

Z kolei szwedzki rząd przedstawił w październiku 2025 roku projekt ustawy przewidującej obniżenie z 15 do 13 lat wieku odpowiedzialności karnej za popełnienie najcięższych przestępstw, w tym morderstw. To reakcja na rosnącą przestępczość gangów rekrutujących dzieci.

W środku dnia ojciec rodziny został zastrzelony na oczach swojego syna. O popełnienie zbrodni podejrzany jest 17-latek. W innej strzelaninie rannych zostało sześć osób, a policja aresztowała 13-latka. W lesie znaleziono ciała dwóch 14-latków, którzy mieli powiązania ze środowiskiem gangów. Takie wiadomości, jak piszą media, stały się w Szwecji niemal codziennością.

Plany szwedzkiego rządu krytykują eksperci, organizacje praw dziecka i pracownicy socjalni. Tłumaczą, że to zła droga, bo obniżenie wieku odpowiedzialności karnej nie zapobiegnie przestępstwom, a może jedynie utrudnić resocjalizację.

Wiek odpowiedzialności karnej różni się w poszczególnych krajach Unii Europejskiej. W Portugalii i Luksemburgu przed sądem stanąć można dopiero od 16. roku życia.

W Polsce za popełnione przestępstwa odpowie osoba, która ukończyła 17 lat. Sąd jednak zamiast kary więzienia zastosuje wobec niej środki wychowawcze. Do odpowiedzialności karnej może być pociągnięty także 15-latek, jeśli dokona ciężkiego przestępstwa.

W Niemczech wiek odpowiedzialności karnej wynosi 14 lat, jednak do ukończenia 18. roku życia sprawy młodocianych przestępców rozpatruje sąd dla nieletnich.

W żadnym innym kraju UE wiek odpowiedzialności karnej nie jest tak niski jak w Irlandii. Zgodnie z ustawą o ochronie młodzieży dla większości przestępstw wynosi on 12 lat, a w przypadku szczególnie poważnych przestępstw, takich jak morderstwo, zabójstwo lub gwałt, nieletni mogą być ścigani już od 10. roku życia.

UNICEF, Rada Europy, aktywiści w Irlandii krytykują taki stan rzeczy i zwracają uwagę, że obecne przepisy są sprzeczne ze standardami ochrony dzieci. Dają przykład Danii. Tam w 2010 roku centroprawicowy rząd obniżył wiek odpowiedzialności karnej z 15 do 14 lat. Dwa lata później nowy rząd cofnął zmianę. Badania nie wykazały spadku liczby przestępstw popełnianych przez czternastolatków. Zamiast tego pojawiły się dowody na to, że więzienie dla nieletnich „produkuje" recydywistów.

Zabił i podpalił

Tyle że młodzi są coraz brutalniejsi i bezwzględni. 10 marca 2023 roku w centrum Jaworzna 13- i 14-latka pobiły 16-latkę. Bez opamiętania znęcały się nad koleżanką. Całe zajście nagrały, potem filmik wrzuciły do sieci.

W grudniu ub. roku w Jeleniej Górze zginęła 11-letnia Danusia. Podejrzaną o zabójstwo jej rok starsza koleżanka.

W maju 2019 roku w szkole w stołecznej dzielnicy Wawer 15-letni Emil B. zabił rok starszego kolegę. Zadał mu dziewięć ciosów nożem: w głowę, szyję, klatkę piersiową i brzuch. Znał się z ofiarą. Miał pretensje do Kuby, bo ten był mu winny pieniądze. Miało chodzić o 1,5 tys. zł.

Rok temu media żyły sprawą zabójstwa 16-letniej Mai Kowalskiej. Jej ciało podpalono, wcześniej zadano jej wiele ciosów w głowę. Śledczy postawili zarzut zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem byłemu chłopakowi dziewczyny, z którym w dniu śmierci miała się spotkać.

Maja od pewnego czasu na stałe mieszkała w Olsztynie. Często przyjeżdżała jednak do rodzinnego miasta, Mławy, aby zobaczyć się ze znajomymi, także z rok od niej starszym Bartoszem G.

– Oni kiedyś byli parą. Później, kiedy Maja wyjechała stąd do swojej mamy, ich kontakt się urwał. Mamy zdjęcie, które pokazuje obrażenia, jakie miała

WIADOMO, ŻE NAJPIERW ĆWICZYŁ CIOSY SIEKIERĄ W GARAŻU. POTEM USTAWIŁ KAMERĘ W POKOJU I ZAATAKOWAŁ BABCIĘ I OJCZYMA

eprasa.pl 528e2659f7

Maja, to było w kwietniu 2022 roku. Napisała, że pokłóciła się z Bartoszem G., on rozbił jej łuk brwiowy – opowiadali Łukasz Tusiński i Patryk Szulc z Kanału Kryminalnego Extra na YouTube.

23 kwietnia 2025 roku, krótko przed godz. 20.00 Maja na chwilę wyszła z domu. Bliskim powiedziała, że idzie spotkać się z Bartoszem. Miała wrócić za pół godziny. Nie wróciła. Rodzina, znajomi zaczęli jej szukać.

Ponoć Bartosz był podczas poszukiwań „bardzo nerwowy", sugerował, że może Maja miała jakiś wypadek. Mai zdarzało się uciekać z domu, ale zawsze była w stałym kontakcie telefonicznym z mamą. Tym razem jej telefon przestał być aktywny, co zaniepokoiło rodziców.

Wcześniej, chwilę przed zniknięciem, Maja napisała jeszcze wiadomość do swojej przyjaciółki z prośbą o szybki kontakt.

– Mnie się wydaje, że prosiła o pomoc. Może uciekała przed nim, gdzieś się schowała i znalazł ją – opowiadała koleżanka zamordowanej Mai. W trakcie poszukiwań Bartosz wyjechał do Grecji. To była wymiana uczniowska, Erasmus.

Był za granicą, kiedy na pobliskim torowisku znaleziono telefon Mai. Tydzień po zaginięciu odnaleziono jej ciało. Było ukryte w gęstych chaszczach, kilkaset metrów od domu Bartosza G. Tego samego dnia przebywający w Grecji chłopak został zatrzymany. Prokuratura postawiła mu zarzut zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem.

– Została wielokrotnie uderzona w głowę i to było przyczyną śmierci. Doszło również do podpalenia, doszło do oblania ciała lub żywej osoby substancją żrącą. Trzeba mieć naprawdę silną psychikę, żeby tak potraktować ludzkie ciało – ocenił Łukasz Tusiński z Kanału Kryminalnego Extra.

Kilka dni później rodzina zamordowanej Mai zorganizowała w Mławie marsz milczenia.

PAP/KRZYSZTOF ŚWIDERSKI

Po kilku godzinach obławy policjanci odnaleźli i zatrzymali Łukasza G. Grozi mu co najmniej 15 lat pozbawienia wolności. Nie jest pełnoletni, więc nie może dostać kary dożywocia

Problem złożony

Urszula Cur, psycholog, była policjantka, profilerka, mówi, że zabójstwa popełniane przez nieletnich nadal należą do zjawisk rzadkich, jednak wywołują ogromne emocje.

– Jeśli chodzi o przyczyny przestępczości u nieletnich sprawców, najprościej jest podzielić je na indywidualne i społeczne, choć w praktyce one zawsze się przenikają – mówi.

I tłumaczy, że dojrzewanie (fachowo adolescencja) jest okresem szczególnym biologicznie i psychicznie. Intensywne zmiany hormonalne wpływają na reaktywność emocjonalną, a struktury mózgowe odpowiedzialne za kontrolę impulsów i przewidywanie konsekwencji dojrzewają później niż układy odpowiedzialne za emocje i nagrodę. To oznacza, że w tym wieku impulsywność bywa wyższa, a zdolność do długofalowej refleksji – słabsza.

Z perspektywy psychologii osobowości istotne są takie cechy jak wysoka impulsywność, niska ugodowość, skłonność do poszukiwania silnych doznań, trudności w regulacji emocji czy niski poziom empatii. W części przypadków występują zaburzenia zachowania lub utrwalone wzorce agresywne. Większość młodych osób z problemami psychicznymi nie dopuszcza się jednak tak drastycznej przemocy. Sama diagnoza nigdy nie jest prostą przyczyną zabójstwa – decydujące jest nałożenie się wielu czynników.

– Okres adolescencji jest też czasem, w którym mogą po raz pierwszy ujawniać się symptomy, a czasem już w pełni rozwinięte, zaburzenia psychiczne, w tym takie, których jednym z objawów może być podwyższony poziom agresji. Dotyczy to przede wszystkim zaburzeń zachowania, zaburzeń opozycyjno-buntowniczych, a w części przypadków rozwijających się zaburzeń osobowości z pogranicza struktur antyspołecznych czy borderline. W tym wieku mogą także pojawiać się pierwsze epizody psychozy, ciężkiej depresji z drażliwością i impulsywnością, zaburzeń afektywnych dwubiegunowych czy zaburzeń związanych z używaniem substancji. U młodzieży depresja często nie przyjmuje obrazu smutku, lecz właśnie rozdrażnienia, wybuchowości i zachowań agresywnych – mówi Urszula Cur.

Z perspektywy rozwojowej jest to moment szczególnie wrażliwy – intensywne zmiany biologiczne, kształtowanie się tożsamości i duże obciążenie emocjonalne mogą działać jak czynnik wyzwalający u osób predysponowanych. Jeżeli dodatkowo brakuje stabilnego wsparcia dorosłych, wczesnej diagnozy i dostępu do pomocy psychiatrycznej czy psychoterapeutycznej, objawy mogą eskalować.

I żeby było jasne: zdecydowana większość młodych osób chorujących psychicznie nie dopuszcza się przemocy wobec innych. Choroba psychiczna sama w sobie nie jest prostą przyczyną zabójstwa. Ryzyko rośnie wtedy, gdy współwystępują inne czynniki – wcześniejsza przemoc w środowisku, uzależnienia, impulsywność, izolacja społeczna.

Kolejna sprawa: przeniesienie dużej części życia społecznego młodzieży do świata online. Kontakty w mediach społecznościowych pozbawione są bezpośredniej, pełnej informacji zwrotnej, która w relacjach twarzą w twarz naturalnie koryguje zachowania. W świecie wirtualnym tworzy się „fałszywe ja" – obraz siebie budowany pod presją wizerunkową, oderwany od realnych relacji i empatycznego kontaktu. Drugim kluczowym obszarem są relacje rodzinne. Przemoc domowa, zaniedbanie, uzależnienia opiekunów czy chroniczny konflikt zwiększają ryzyko zaburzeń regulacji emocji.

– Nie ma jednej przyczyny ani jednego winnego: „wychowania" czy „internetu", współwystępują ze sobą czynniki rozwojowe, osobowościowe i środowiskowe. Skuteczna prewencja wymaga nie tylko reakcji karnej, lecz przede wszystkim wczesnej interwencji psychologicznej, wsparcia rodzin, edukacji w zakresie regulacji emocji oraz odbudowy realnych więzi społecznych młodzieży – podkreśla Urszula Cur.

Paweł Moczydłowski, socjolog i kryminolog, mówi o braku więzi międzyludzkich. Zapędziliśmy się w wyścigu za pieniądzem i staliśmy się emocjonalnie niedorozwinięci, niedojrzali społecznie. Jesteśmy przy tym społeczeństwem klasowym. Jedni mają, inni nie mają – nie tylko tu i teraz, nie mają też perspektyw, przynajmniej tak uważają.

– Ta wolność, którą mamy, jest też wolnością do przestępstwa. W agresji upatruje się drogi szybkiego awansu, załatwienia problemu – tłumaczy socjolog.

– To powoduje, że szesnastolatek czy siedemnastolatek chwyta za nóż i zabija kolegę albo siekierą ojczyma i prababcię? – dopytuję.

– Tak, bo to się przekłada na wychowanie bez drogowskazów, bez prowadzenia, bo albo rodzice zasuwają, nie wychodzą z pracy, albo taki młody człowiek dorasta w patologicznej rodzinie, w której nie ma żadnego systemu wartości. Wprost przeciwnie – jest agresja do świata, bo rodzice nie dają powodu do dumy, nie są też gwarantem zwiększenia stanu posiadania. Więc ci młodzi frustrację leczą za pomocą agresji – mówi Paweł Moczydłowski.

A internet to rodzaj przyspieszacza, daje odpowiedź na pytanie, jak realizować przeróżne swoje potrzeby, tyle że to propozycje skierowane często do młodych ludzi nieprzygotowanych do życia, bo nikt ich do niego nie przygotowuje: ani środowisko, ani rodzina, ani szkoła.

Niebezpieczne skutki filmu

Film z zabójstwa w Kadłubie błyskawicznie rozszedł się w sieci. Tymczasem Aldona Stach, cyberpsycholożka z fundacji Wise Future University podkreśla, że zaciera się granica pomiędzy światem rzeczywistym a wirtualnym w percepcji młodych ludzi. To właśnie w sieci toczy się dziś duża część ich życia – spotykają się tam, zakochują, doświadczają emocji. Podobnie jak w prawdziwym życiu, do internetu przenikają także ludzkie dramaty.

– To, co mnie przeraziło w tej zbrodni, to fakt, że ten film zobaczyła masa ludzi, którzy absolutnie nie są przygotowani na rejestrowanie takich obrazów – podkreśla ekspertka. – Kontakt z tak drastycznymi treściami może mieć dramatyczne konsekwencje dla młodych umysłów. Może wywołać głęboki szok i zmiany w psychice, które będą wymagały specjalistycznego wsparcia – dodaje.

Może być też zapalnikiem. Policjanci z Gdańska zatrzymali właśnie 18-latka, który zamieszczał w sieci komentarze dotyczące zbrodni, do której doszło w Kadłubie. Pisał, że to zabójstwo jest dla niego motywacją i że „postara się zrobić to lepiej".

Współpraca:
Radosław Dimitrow

eprasa.pl 528e2659f7

TRWA EWAKUACJA POLAKÓW

Rzecznik MSZ Maciej Wewiór poinformował, że od początku działań zbrojnych w Iranie, do Polski przyleciało 11 samolotów; łącznie z Bliskiego Wschodu wróciło 2263 pasażerów

Karolina Wrońska, Zbigniew Czyż

FOT. PAP/JAKUB KACZMARCZYK

Pierwsze samoloty z turystami z Bliskiego Wschodu lądowały w Polsce we wtorek. Na razie nie wiadomo, kiedy wznowione zostaną regularne loty

Maciej Wewiór podkreślił, że na ten moment resort nie ma żadnych informacji, aby jakikolwiek polski obywatel ucierpiał w związku z działaniami zbrojnymi na Bliskim Wschodzie, choć - jak zaznaczył - sytuacja jest różna w każdym z krajów. Przekazał też, że na lotnisku w stolicy Omanu - Maskacie - trwa właśnie boarding pasażerów, którzy potrzebują wsparcia medycznego. Są to m.in. osoby z niepełnosprawnościami - dodał. Do kraju wrócili oni samolotami Sił Powietrznych RP w czwartek w nocy.

Rzecznik MSZ oszacował również, że dziennie Zjednoczone Emiraty Arabskie może opuszczać nawet 40 tysięcy turystów. W jego ocenie, oznaczałoby to, że kryzys turystyczny w tym kraju zostałby zażegnany w ciągu tygodnia. - Oczywiście zaznaczając, że nie będzie żadnych zmian sytuacji bezpieczeństwa - doprecyzował.

Jak dodał, w czwartek odbyło się spotkanie zespołu kryzysowego w MSZ pod przewodnictwem ministra sportu i turystyki Jakuba Rutnickiego. Omówiono na nim m.in. sytuację w krajach spoza Zatoki Perskiej i Półwyspu Arabskiego.

Podkreślił, że na ten moment terytorium Izraela chce opuścić jeszcze „kilku, kilkunastu" polskich obywateli. Dodał, że w Libanie i Jordanii nie ma już Polaków, którzy wyrażają chęć opuszczenia tych krajów.

Skomplikowana operacja logistyczna

Loty ewakuacyjne organizują również USA i inne państwa europejskie, w tym m.in. Francja, Włochy, Hiszpania, Czechy i Niemcy.

W środę wieczorem szef MSZ Radosław Sikorski rozmawiał telefonicznie ze swoim omańskim odpowiednikiem Badrem al-Busaidim, m.in. o lotach powrotnych obywateli RP z Omanu do Polski.

Premier Donald Tusk poinformował, że podjął decyzję o wykorzystaniu wojskowych samolotów do wsparcia ewakuacji Polaków z Omanu, a wniosek w tej sprawie trafił do prezydenta, który go zaakceptował.

Kierownik placówki dyplomatycznej w Abu Zabi Grzegorz Gawin przekazał, że Oman ma otwartą przestrzeń powietrzną, w związku z czym Polska i inne kraje „ustanawiają go jako główny kanał repatriacyjny".

Gawin wyjaśnił też, że potencjalnie istnieją dwie drogi lądowej ewakuacji. „Jedna droga, którą sprawdziliśmy w przypadku naszego transportu medycznego, to droga do Omanu (lotnisko w Maskacie) i próba wylatywania stamtąd do Europy. Druga droga prowadzi przez Arabię Saudyjską - są możliwości wylotu zarówno z Rijadu, jak i z Dżeddy. Drogi lądowe są jednak dość uciążliwe - 6 godzin drogi do Omanu i nawet 10 godzin do Rijadu" - poinformował.

Donald Tusk już kilka dni temu podkreślił, że Polska jest logistycznie przygotowana do potencjalnej akcji ewakuacyjnej. Zaznaczył, że tylko w Zjednoczonych Emiratach Arabskich jest około 14 tysięcy Polaków, a obywateli UE w sumie ok. 400 tysięcy, dlatego niezbędna jest współpraca z partnerami europejskimi.

I tak w czwartek rano na lotnisku w Wilnie wylądował czarterowy samolot linii FlyDubai. Na pokładzie samolotu znajdowało się 170 pasażerów, w tym 49 obywateli Litwy, a także obywatele Polski, Estonii, Holandii i innych krajów.

Premier zwrócił także uwagę na problem Polaków, którzy znajdują się na przykład w dalekiej Azji i nie mają możliwości powrotu na przykład przez Dubaj.

– We współpracy z innymi państwami będziemy starali się tak kombinować możliwości różnych państw, aby postarać się możliwie skutecznie pomóc w powrocie do kraju tym, którzy ze względu na kłopot tranzytowy utknęli w miejscu, gdzie kończy im się właśnie wypoczynek – zapewnił. – Pracujemy nad tym właśnie 24 godziny na dobę. Żaden Polak nie może i nie pozostanie bez pomocy, wtedy gdy ta pomoc będzie niezbędna – oświadczył Donald Tusk.

Działa Ko misja Europejska

Szefowa dyplomacji Unii Europejskiej Kaja Kallas zapowiedziała, że organizowana jest ewakuacja obywateli państw Unii z Bliskiego Wschodu, a Komisja Europejska odpowiada za koordynowanie działań służb konsularnych. - Naszym priorytetem jest bezpieczeństwo naszych obywateli, którzy obecnie przebywają w regionie - powiedziała dziennikarzom Kallas .

Kilka państw członkowskich aktywowało unijny mechanizm ochrony ludności, w ramach którego możliwe jest organizowanie wspólnych ewakuacji obywateli UE z regionu objętego zagrożeniem. Koordynowaniem takich operacji zajmuje się Komisja Europejska, której Kallas, jako szefowa unijnej dyplomacji, jest wiceprzewodniczącą.

Mechanizm aktywowało już łącznie 10 państw członkowskich: Belgia, Bułgaria, Czechy, Francja, Włochy, Cypr, Luksemburg, Rumunia, Słowacja i Austria.

Desperacki ruch Anity Włodarczyk

Anita Włodarczyk jest w drodze do Europy i do Polski. Trzykrotna mistrzyni olimpijska we wtorek wieczorem zdecydowała się na ucieczkę ze stolicy Kataru Dohy, gdzie przygotowywała się do nowego sezonu.

Włodarczyk podkreśliła, że z hotelowego okna widziała, jak systemy obrony przeciw powietrznej przechwytywały rakiety bezpośrednio nad Doha.

- To, co się działo na niebie, było straszne. Cały czas otrzymujemy alerty, oficjalne komunikaty z mediów oraz na bieżąco informacje z Ambasady RP w Katarze, dbamy o bezpieczeństwo - napisała w mediach społecznościowych lekkoatletka.

Ponieważ nie może wylecieć z Kataru, wyrobiła e-visę do Arabii Saudyjskiej i w samochodzie do tego kraju pokonała trasę liczącą prawie 600 km.

- Udało mi się opuścić Dohę i dotrzeć do Rijadu, choć sytuacja była bardzo niepewna - podróżowałam w zasadzie w ciemno, bez zakupionego biletu lotniczego, ale zależało mi, żeby dostać się do Rijadu, ponieważ przestrzeń powietrzna jeszcze była otwarta i jak najszybciej chciałabym stamtąd wylecieć w kierunku Europy - napisała Włodarczyk. Mistrzyni olimpijska miała przebywać na zgrupowaniu w Katarze do 1 kwietnia.

Powoli wznawiają loty

Katarskie linie lotnicze Qatar Airways poinformowały w serwisie X, że od czwartku będą prowadzić „ograniczone loty ewakuacyjne" z Maskatu w Omanie i Rijadu w Arabii Saudyjskiej dla podróżnych, którzy wskutek wojny utknęli w krajach Zatoki Perskiej. Władze w Abu Zabi podały z kolei, że wznowiono ograniczoną liczbę lotów pasażerskich z międzynarodowego lotniska Zajed w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich po okresie zakłóceń spowodowanych wydarzeniami na Bliskim Wschodzie.

Polskie Linie Lotnicze LOT, we współpracy z biurami podróży, uruchamiają rejsy powrotne dla turystów ze Sri Lanki i Malediwów - poinformował przewoźnik. Dodatkowe loty z obu portów mają się odbyć 10 marca. Jak dodała linia, na dodatkowych rejsach odbywających się z obu portów 10 marca w godzinach porannych, w miarę dostępności zaoferowane zostaną miejsca dla turystów indywidualnych.

PAP

REKLAMA 0011466434

eprasa.pl 528e2659f7

PULS
#206

Wojna uderzy nas po kieszeniach?
Str. 16–17

BT

eprasa.pl 528e2659f7

Arlena Sokalska

KASA, MISIU, KASA

Sportowi działacze z Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i innych podobnych od lat nas wszystkich oszukują. Mówią, że sport powinien być rozdzielony od polityki, bo jest czysty, szlachetny i nie ma związku z przynależnością narodową, państwami itp., itd.

Dlatego podczas niedawnych igrzysk zabroniono ukraińskiemu skeletoniście założyć na zawody kask z wizerunkami zabitych sportowców. W zamian zaproponowano mu modlitwę w kaplicy i włożenie czarnej opaski. Ale nie o żałobę tu chodziło, a o pamięć. Nawiasem mówiąc, wykluczenie Władysława Heraskewycza z igrzysk sprawiło, że we wszystkich mediach społecznościowych pojawiły się imiona i nazwiska tych sportowców, których wizerunki miał na kasku, były nawet poruszające filmiki, gdzie dzięki sztucznej inteligencji zobaczyliśmy ich na chwilę „ożywionych".

Warto przy tym dodać, że szefowa MKOl, Kirsty Coventry to też bardzo ciekawa postać. Wbrew temu, jak się nazywa, nie jest Amerykanką czy Brytyjką. To ulubiona była sportsmenka jednego z afrykańskich dyktatorów, a mianowicie Roberta Mugabe. Coventry jest najbardziej utytułowaną pływaczką w Zimbabwe, a po zakończeniu kariery była ministrem sportu w prorosyjskim rządzie Emmersona Mnangagwy. Czy jej prorosyjska postawa jest niezrozrozumiała. Wręcz przeciwnie!

No ale skandal był, skandal przebrzmiał. Czeka nas nowy. Podczas rozpoczynających się igrzysk paralimpijskich zobaczymy na arenach sportowych zmagań sportowców z Rosji i Białorusi. Pod swoimi flagami. Jeśli więc jakiś rosyjski sportowiec zdobędzie złoty medal, usłyszymy hymn Federacji Rosyjskiej. Tzn. nie usłyszymy. Telewizja Polska ogłosiła bojkot i zapowiedziała, że w tym czasie pokaże planszę.

Na ceremonii otwarcia – w związku z udziałem rosyjskich sportowców pod swoją flagą – nie pojawią się nasi. Bojkot ogłosiło kilkanaście krajów oraz Unia Europejska.

Dlaczego Międzynarodowy Komitet Paralimpijski podjął taką decyzję, mogę się tylko domyślać. Jak zwykle zapewne chodzi o finanse.

Ale to nie wszystko – do dopuszczenia udziału Rosji i Białorusi w międzynarodowych meczach przymierza się również FIFA. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić mecz Rosja – Ukraina – poza tym, gdzie miałyby się one odbywać? Trudno mi nawet wyobrazić sobie „sborną" Rosji na Stadionie Narodowym w Warszawie. Co wtedy? Nie przystąpić do meczu?

A może Rosję skierują do innej strefy? Np. afrykańskiej, bo tam sympatia do tego kraju jest dużo większa. Jak Izrael, który od lat gra w federacji europejskiej, z wiadomych zresztą przyczyn. Na szczęście – dla FIFA – nie zakwalifikował na mundial od kilkudziesięciu lat.

Nie da się oddzielić sportu od polityki, zwłaszcza w przypadku zmagań drużyn narodowych. „Sport to wojna bez strzelania" – napisał kiedyś George Orwell, a liczni socjologowie patrzą na futbol, czy ogólnie zmagania sportowe, jak na sublimację wojen między narodami.

Problem zaczyna się wtedy, gdy strzały rzeczywiście padają. Nie można wtedy udawać, że sport jest „poza polityką", do czego próbują nas przekonać międzynarodowe organizacje sportowe. Dlaczego to robią? Bo Rosja to olbrzymi rynek, a to oznacza zyski finansowe. Czyli jak mówił nieżyjący już były trener polskiej reprezentacji: „kasa, misiu, kasa". A może nawet judaszowe srebrniki.

Adam Buła

ZŁOTY STRZAŁ KAROLA

No i zrobił się nam poważny problem. Doraźny interes polityczny zawsze pociągał za sobą „racjonalne" ofiary. Ale tym razem dla doraźnej polityki PiS prezydent „wszystkich" Polaków i „niezależny" prezes banku centralnego kupczą REALNYM bezpieczeństwem. Sprawy zaszły na tyle daleko, że do gry wchodzą duże słowa, z działaniem wprost na szkodę interesów Polski na czele.

Odpalona w środowe popołudnie (04.03) konferencja prezydenta Karola Nawrockiego i szefa NBP Adama Glapińskiego przejdzie do historii jako jedna z większych politycznych hucp. Zero konkretów, zero szczegółów, tylko usilne wykuwanie prostego przekazu dla najbardziej wytrwałego elektoratu: NASZE złoto – POLSKIE SAFE 0% – figa dla Niemca – rząd ograny.

Przez grzeczność zapewnie i z szacunku do powagi (?) urzędów w czwartek do południa pojawiło się wiele rzeczowych komentarzy ludzi poważnych, ekonomistów zwłaszcza, którzy do rzuconego przez panów granatu próbowali się odnieść merytorycznie. I oczywiście jeden w drugiego nudzili strasznie, usiłując wytłumaczyć, że nie może zaistnieć coś takiego jak finansowanie armii przez Narodowy Bank Polski.

Za to po drugiej stronie zero trudnych słów, tylko „złote" slogany. Pierwszy harcownik prezydencki, minister Zbigniew Bogucki, podniecony zapiewa w „Polsacie": NBP ma 240 mld euro rezerw! To, na szybko licząc, 5 razy więcej niż całe to SAFE. Na co mu „nudni" internauci wklejają fragment z samego Glapińskiego, który na konferencji z Nawrockim przyznał, że – zgodnie z prawem – NBP nie może swoimi rezerwami finansować bezpośrednio wydatków państwa, a więc i kontraktów na armię.

Druga gwiazda z dworu prezydenta, Paweł Szefernaker, zachwyca się: Wartość złota zgromadzonego przez NBP wzrosła od końca 2023 r. do końca 2025 r. o około 185 mld zł, czyli o około 43 mld euro. To tyle samo, ile rząd chce pożyczyć na procent z SAFE.

Czyli wyprzedajemy złoto. NBP zanotuje wtedy zysk, a to tylko zysk bank centralny może przekazać bezpośrednio do budżetu państwa. Raz do roku. Dziwnym trafem za ośmioletnich rządów prawicy NBP wypracował w sumie 40 mld zł zysków, a od kiedy budżetem zarządza Donald Tusk, NBP ma same straty (2023 – ponad 20 mld; 2024 – ponad 13 mld). No i nie mógł dać dotąd Tuskowi ani grosza. No co za pech…

Ale teraz mu da na to całe SAFE, tylko nie tu i nie teraz, bo chodzi tylko o to przecież, żeby Nawrocki miał jakąkolwiek podkładkę, żeby móc program modernizacji armii z unijnych pożyczek zawetować. To leży zupełnie na wierzchu, w sektach wpisów zachwyconej prawicy w klimacie: „Złoty gamechenger – Tusk załatwiony". Redaktor DziennikZbrojny.pl Tomasz Dmitruk napisał więc wprost to, co wszyscy wiedzą: SAFE 0% to polityczny królik z kapelusza, mający uzasadnić weto do ustawy. Rząd i tak podpisze umowę pożyczkową (na gorszych warunkach, bo przez Fundusz Wsparcia Sil Zbrojnych), pieniędzy z NBP budżet do wyborów nie zobaczy, a opozycja będzie miała podstawę do krytyki.

Niewiele pomoże tu zgrabna w sumie reakcja samego rządu, sprowadzająca się do zdania: „Unijny, korzystny dla nas SAFE jest potrzebny tu i teraz, ale armia potrzebuje mnóstwo pieniędzy, więc inicjatywę prezydenta i szefa NBP witamy z nadzieją i czekamy na jakiekolwiek szczegóły. Tylko na liście rezerwowej projektów w ramach SAFE jest do wydania kolejne 80 miliardów złotych".

Najmniej w sumie mówi się o innym aspekcie prezydenckiej szarży – powrocie do gospodarki czasów PRL. Najpierw się ruszy rezerwy NBP na zablokowanie Tuskowego SAFE, potem znajdą się kolejne, „bardzo ważne cele". Na końcu rezerwy NBP się skończą, pojawi się za to utrata wartości złotego przy rozpędzającej się inflacji. I to jest prawdziwa droga do „drugiej Grecji".

Ale to znów wymądrzanie się za pomocą nudnych słów. Ważne jest to, że PiS z prezydentem i szefem NBP zdołali wymyślić, jak sprzedać ludziom weto. Że nie kupią tego ani wojskowi, ani polska zbrojeniówka? No ale przecież od początku w tym był cały problem: kupować ma amerykańska zbrojeniówka!

Więc jakby dotarliśmy do zdania z początku: doraźny interes polityczny zawsze pociągał za sobą „racjonalne" ofiary. Ale tym razem dla doraźnej polityki PiS prezydent i prezes NBP kupczy polskim bezpieczeństwem.

Polska prowadzi rozmowy z Francją i grupą najbliższych europejskich sojuszników w sprawie zaawansowanego programu odstraszania nuklearnego. Zbroimy się z przyjaciółmi, aby wrogowie nie ośmielili się nas zaatakować

PREMIER DONALD TUSK

eprasa.pl 528e2659f7

FOTO*komentarz tygodnia*

FOT. PAP/EPA/AHMED MARDNLI

4 MARCA, IRAN/SYRIA

Pocisk widoczny na zdjęciu został wystrzelony przez Iran w stronę Syrii. Po rozpoczęciu amerykańsko-izraelskiej operacji przeciwko reżimowi ajatollahów, Teheran odpowiada atakami na bazy wojskowe w sąsiednich krajach, choć jeden z ataków sięgnął też Cypru. Z kolei Amerykanie i Izraelczycy kontynuują działania służące rozbiciu potencjału militarnego Iranu. Zmiana reżimu rządzącego w kraju wydaje się nierealna. Nie wiadomo też, jak długo potrwa konflikt. Najczęściej powracająca odpowiedź: będzie on trwał, dopóki obu stronom nie skończą się zapasy rakiet

FOT. PAP/EPA/JIM LO SCALZO / POOL

2 MARCA, FRANCJA. **Emmanuel Macron pojawił się w bazie nuklearnych okrętów podwodnych w Bretanii, gdzie przedstawił projekt nowej koncepcji odstraszania. Zapowiedział rozbudowę arsenału atomowego Francji (liczba głowic zostanie tajemnicą) i wzięcia pod ten parasol części krajów europejskich, w tym Polski**

FOT. PAP/EPA/JIM LO SCALZO / POOL

2 MARCA, USA. **Kpt Karol Cierpica razem z rodziną śp. sierż. Michaela Ollisa, który zginął w Afganistanie ratując życie polskiego żołnierza. Donald Trump właśnie pośmiertnie odznaczył Ollisa w Białym Domu**

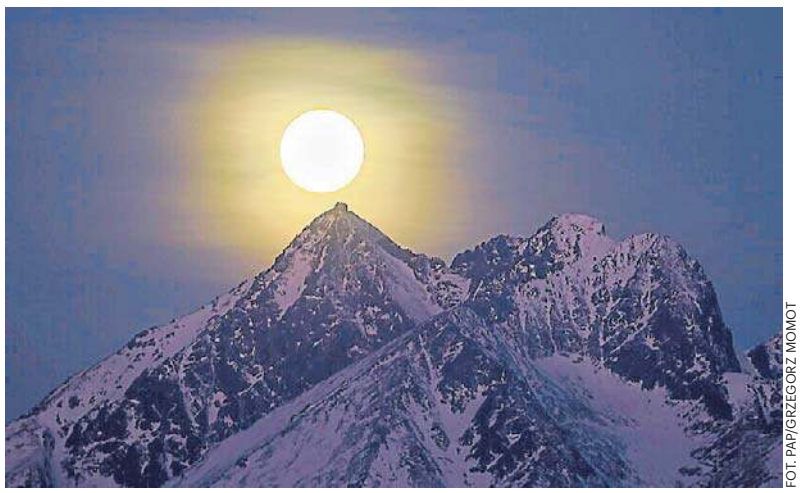

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

4 MARCA, SŁOWACJA. **Na niebie był widoczny tzw. robaczy (lub krwawy) księżyc - symbol początku astronomicznej wiosny. Wiosnę czuć też w powietrzu. Czy ktoś pamięta, że miesiąc temu było -20 st. C?**

eprasa.pl 528e2659f7

Polska
Piątek–niedziela, 6–8.03.2026

PROF. ORŁOWSKI: EFEKTY WOJNY NA BLISKIM WSCHODZIE, PÓKI CO, SĄ BARDZO OGRANICZONE

Jeśli chodzi o polską gospodarkę, uważam, że perspektywy mimo to nie są najgorsze. W zależności od rozwoju sytuacji, jeśli wojna skończy się w ciągu kilku dni, negatywne efekty będą bardzo umiarkowane. Natomiast, jeśli potrwa parę tygodni, musimy się liczyć ze wzrostem inflacji i z tym, że wzrost gospodarczy będzie w Polsce wolniejszy i mniej zdrowy niż byłby bez wojny. Wzrost cen na stacjach benzynowych na pewno zobaczymy, na to już pewnie nie ma siły. Natomiast to, czy się on przełoży na długotrwały wzrost inflacji, którą będziemy odczuwać przez wiele miesięcy, jak już mówiłem wielokrotnie, zależy od tego, jak długo ten konflikt potrwa - mówi prof. Witold Orłowski, ekonomista, publicysta

Dorota Kowalska

Panie profesorze, ekonomiczne skutki wojny na Bliskim Wschodzie mogą być dla nas bardzo poważne, prawda?
Dla całego świata mogą być poważne, ale oczywiście wszystko jeszcze zależy od tego, jak dalej ten konflikt się potoczy. Póki co, wielkich skutków jeszcze nie widać. Widać głównie zmiany opinii analityków rynkowych, którzy jeszcze parę miesięcy temu twierdzili, że ceny ropy naftowej mogą spaść do 20-30 dolarów za baryłkę, a teraz mówią, że mogą wzrosnąć do 200. Prawdopodobnie ani pierwsze nie było możliwe, ani drugie się nie wydarzy, jeśli nie dojdzie do jakiejś katastrofy, ale analitycy bardzo się w tej chwili zaktywizowali.

Zamknięcie cieśniny Ormuz to jednak problem, bo to ważny szlak transportowy gazu i ropy naftowej.
Przede wszystkim ropy, zwłaszcza do krajów Dalekiego Wschodu. Europa nie jest aż tak silnie uzależniona od importu z Zatoki Perskiej.

I nie tylko ropy, tą cieśniną transportuje się również masę innych towarów, choćby aluminium, mocznik, czy cukier. Jak to wpłynie na naszą rzeczywistość?
Wszystko zależy, jak długo będzie trwał ten konflikt i na jak długo Iran będzie w stanie skutecznie zablokować cieśninę Ormuz. Wiadomo raczej jak ta wojna się skończy, technologiczna i wojskowa przewaga Stanów Zjednoczonych i Izraela nad Iranem jest przecież niepodważalna. Natomiast nie znamy odpowiedzi na pytanie, jak długo będą trwały działania zbrojne, bo w końcu przepływające tankowce można skutecznie atakować i stosunkowo prostą bronią, np. dronami. Im dłużej to się będzie działo, tym większy będzie efekt dla rynku surowców energetycznych. Trzeba powiedzieć, że jak dotąd jakiejś wielkiej paniki nie widać. Ceny ropy naftowej i gazu oczywiście wzrosły, dziwne byłoby, gdyby tak się nie stało, ale póki co nie w sposób dramatyczny. Wzrost cen surowców energetycznych jest wciąż nieporównywalny z tym, co widzieliśmy, kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, jest tylko drobnym ułamkiem tamtego wzrostu. Powtarzam, że wszystko zależy od tego, jak długo potrwa ten konflikt. Oczywiście, jeśli okazałoby się, że Iran jest w stanie przez długi czas skutecznie zablokować cieśninę Ormuz, to możemy mieć potężny wzrost cen ropy naftowej i innych surowców. Dla przypomnienia, kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, ceny ropy wzrosły z 60 dolarów za baryłkę do 120. W tej chwili mamy wzrost z 65 do 75 dolarów za baryłkę. Taki wzrost nie powoduje jeszcze żadnych dramatycznych konsekwencji. Widać to zresztą po kursie złotego, który prawie nie zareagował na zawirowania. Więc efekty tego, co się stało, póki co, są bardzo ograniczone. Jeśli ta wojna dość szybko by się skończyła, na co chyba liczą uczestnicy rynku, to jej efekty gospodarcze byłyby bardzo ograniczone, po miesiącu moglibyśmy ich nie zauważać. Jednak każdy jej następny tydzień to dalszy wzrost cen ropy naftowej.

A co oznaczają wysokie ceny ropy naftowej?
Oznaczają dwie rzeczy. Pierwsza - to przyspieszenie inflacji. A także zapewne osłabienie złotego, bo jak w gospodarce dzieje się coś złego, to w oczywisty sposób następuje tak zwana ucieczka dla bezpieczeństwa. Tracą przede wszystkim waluty krajów rozwijających się, mniej traci euro, a zyskuje dolar, frank szwajcarski, złoto. Kto przez ostatnie miesiące inwestował w złoto, mimo strasznie wysokich cen, to oczywiście w tej grze o niepewność na świecie w tej chwili może wygrywać. Jak wysoki może być wzrost inflacji w Polsce? Ponieważ nie jesteśmy tak narażeni na wstrząsy, jak to było po ataku Rosji na Ukrainę, więc myślę, że nie aż tak wielki. Z tym dwa i pół procenta, który mamy w tej chwili, musielibyśmy się pożegnać, przy dłuższym trwaniu wojny wrócilibyśmy pewnie do pięciu, sześciu procent inflacji. Mielibyśmy więc czasowy wzrost cen, choć oczywiście nie tak dramatyczny jak w latach 2022-23.

Właśnie, bo wzrost inflacji to wzrost cen produktów i usług, prawda?
Tak, oczywiście. Najszybciej zobaczylibyśmy wzrost cen na stacjach benzynowych, to być może będziemy widzieli już za chwilę. Natomiast w ślad za tym oczywiście może pójść wyraźne przyspieszenie wzrostu cen produktów i usług, ale tylko w sytuacji, jeśli ceny ropy dalej będą rosły. Gdyby ta wojna niedługo wyhamowała, a ceny ropy ponownie spadły, wzrost inflacji byłby nieznaczny. Większe zagrożenie pojawi się w momencie, gdy ta wojna będzie trwała długo, gdyby Iran tygodniami mógł skutecznie blokować cieśninę Ormuz. W takiej sytuacji wystąpią braki ropy naftowej na globalnym rynku, co może spowodować nawet i recesję w Europie. Oczywiście najbardziej na recesję narażone są w takiej sytuacji kraje Dalekiego Wschodu, zwłaszcza Japonia i Korea, a w dalszej kolejności może nawet Chiny, bo są silnie zależne od importu z Zatoki Perskiej. Ale Europa też jest bardzo narażona, i bezpośrednio, bo jednak sporo gazu i ropy dociera do nas przez cieśninę Ormuz, i pośrednio, bo recesja w Chinach to problem dla europejskiego eksportu. Stany Zjednoczone nie są aż tak narażone, one praktycznie niczego stamtąd nie importują, co oznacza, że Stanom Zjednoczonym gospodarczo aż tak wojna nie przeszkadza. Nie uderza w nie bezpośrednio, jeśli oczywiście nie liczyć prawdopodobnego ponownego wzrostu inflacji i, oczywiście, ogromnych kosztów prowadzenia operacji wojennej. Gdyby więc nastąpiły naprawdę długie przerwy dopływu ropy z Zatoki Perskiej, mielibyśmy bardzo potężne spowolnienie wzrostu gospodarczego zarówno w Azji, jak i w Europie. Może nawet recesję, bo Europa Zachodnia rozwija się bardzo wolno, wzrost PKB Niemiec cały czas oscyluje w okolicach zera procent, więc kolejna fala pogorszenia nastrojów, wraz ze wzrostem inflacji mogłaby przynieść tam recesję. W Polsce odczulibyśmy oczywiście spowolnienie wzrostu eksportu, chociaż trzeba powiedzieć, że ratuje nas trochę fakt, że jesteśmy na fali rosnącego popytu krajowego.

Co dla Europy znaczy recesja?
Recesja dla Europy oznaczałaby minus 1-2 procent wzrostu PKB w Niemczech, koło zera w innych krajach Europy Zachodniej, u nas może plus 2 procent wzrostu, ale zamiast 4, które byłyby możliwe bez wojny. Recesja w Europie nastąpiłaby w momencie o tyle niekorzystnym, że wydawało się, iż niemiecka gospodarka powoli zaczyna przyspieszać. Niemcy są najbardziej czułym w tej chwili barometrem, na który należy patrzeć, bo tam bardzo łatwo może znowu nastąpić spadek produkcji. Zerowy wzrost trwa w Niemczech od 4 lat, w niesprzyjających warunkach może nastąpić spadek PKB. To jest oczywiście dla wszystkich w Europie problem. Tak jak powiedziałem, akurat Polska jest w tej chwili na fali rosnącego popytu krajowego, zwłaszcza przyspieszających inwestycji, więc u nas recesji raczej się nie musimy obawiać. Ale musielibyśmy oczekiwać wolniejszego i mniej zdrowego wzrostu gospodarczego, niż mógłby być. W ostatnim okresie mieliśmy już całkiem ładnie rosnący eksport, on mógłby znowu wyhamować do zera albo poniżej zera, gdyby rzeczywiście w Niemczech na nowo zaczęło się bardzo źle dziać.

Nie jest pan jednak pesymistą!
Nie ma wątpliwości, że nic dobrego się nie stało. Natomiast, jeśli chodzi o polską gospodarkę, uważam, że perspektywy mimo to nie są najgorsze. W zależności od rozwoju sytuacji, jeśli wojna skończy się w ciągu kilku dni, negatywne efekty będą bardzo umiarkowane. Natomiast, jeśli potrwa parę tygodni, musimy się liczyć ze wzrostem inflacji i z tym, że wzrost gospodarczy będzie w Polsce wolniejszy i mniej zdrowy niż byłby bez wojny. Wzrost cen na stacjach benzynowych na pewno zobaczymy, na to już pewnie nie ma siły. Natomiast to, czy się on przełoży na długotrwały wzrost inflacji, którą będziemy odczuwać

eprasa.pl 528e2659f7

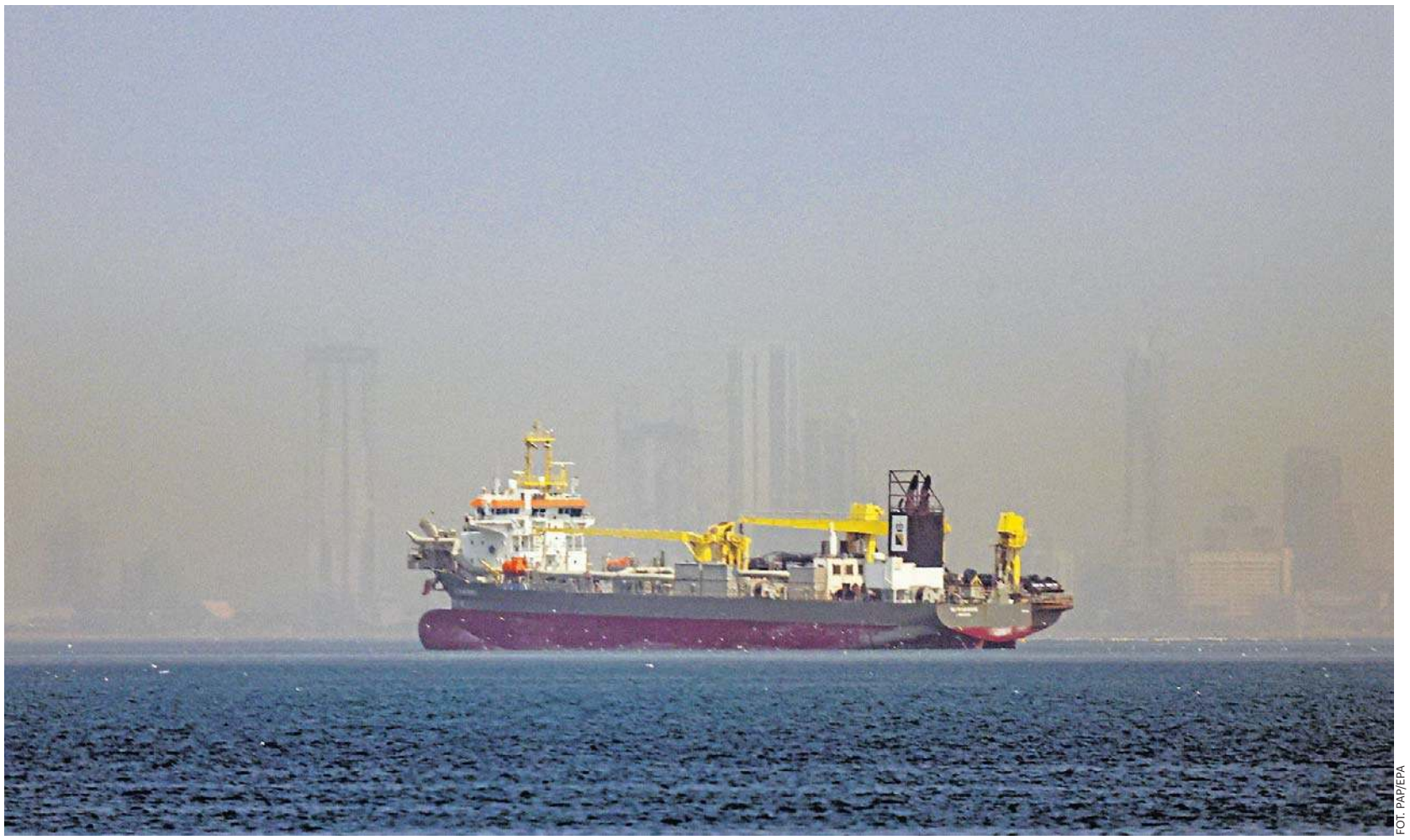

FOT. PAP/EPA

Prof. Orłowski: Jeśli okazałoby się, że Iran jest w stanie przez długi czas skutecznie zablokować cieśninę Ormuz, to możemy mieć potężny wzrost cen ropy naftowej i innych surowców

przez wiele miesięcy, jak już mówiłem wielokrotnie, zależy od tego, jak długo ten konflikt potrwa.

Jego skutki odczują kraje Azji, które żyją z turystyki? Sri Lanka, Malediwy, Tajlandia – turyści nie mogą tam dolecieć przez zamkniętą przestrzeń powietrzną nad Bliskim Wschodem, a to u nich pełnia sezonu.

Tak, chociaż sytuacja tych państw nie ma aż tak wielkiego znaczenia dla światowej gospodarki. Pośrednim efektem konfliktu jest oczywiście paraliż ruchu lotniczego nad Bliskim Wschodem. To rzeczywiście ma ogromne znaczenie dla krajów turystycznych z regionu Azji, bo marzec to jeszcze cały czas szczyt sezonu turystycznego dla poszukujących słońca Europejczyków. Te kraje sporo zapłacą za wojnę, być może również Egipt. Ale w przypadku Polski ta wojna dotyka nas głównie przez ceny ropy i przez sytuację w Niemczech. Jeśli nie liczyć naszych turystów latających do Dubaju albo przez Dubaj do Azji, to bezpośrednio nas wojna nie dotyka. Na nasze szczęście toczy się jednak daleko od nas, nie tak jak ta na Ukrainie.

Właśnie, jak to, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, może wpłynąć na wojnę w Ukrainie? Na sytuację Ukrainy i Rosji?

Pyta pani o gospodarkę, czy o politykę?

I o politykę, i o gospodarkę.

Gospodarczo, każdy wzrost cen ropy jest dla Putina tlenem, który mu pomaga. Gospodarcza sytuacja Rosji wyglądała coraz gorzej, a wzrost cen ropy zawsze przekłada się bezpośrednio na poprawę tej sytuacji. Pewnie marzeniem Putina jest to, by Iran zablokował skutecznie cieśninę Ormuz na wiele miesięcy, żeby ceny ropy gwałtownie wzrosły, a Europa na nowo była zmuszona kupować rosyjską ropę i gaz. Więc przy perspektywie, którą rysowali analitycy, że ceny ropy będą gwałtownie spadać w tym roku, dla Rosji to akurat bardzo dobra sytuacja, zwłaszcza jeżeli wojna dłużej potrwa. Druga sprawa: widać, że w sensie politycznym Bliski Wschód i Izrael jest dla prezydenta Trumpa znacznie ważniejszy niż Europa i Ukraina. To też zła wiadomość dla Ukrainy. Nie potrafię powiedzieć, czy wojna z Iranem oznacza jakieś kłopoty z dostawami sprzętu, który Iran do Rosji wysyłał i czy Rosji nadal dostawy dronów z Iranu są tak potrzebne. To pytanie dla specjalistów, oni są w stanie ocenić, czy z tej perspektywy ta wojna komplikuje sytuację Rosjan. Generalnie jest to oczywiście zła sytuacja dla Europy i dla Ukrainy, a dobra dla Rosji.

Mówi się też, że Amerykanie mogą nie dostarczać tyle sprzętu, ile Ukraina potrzebuje, bo sami go wykorzystują.

To pewnie gruba przesada, Amerykanie mają tak wielkie zapasy sprzętu, że stosunkowo nieduża wojna, jaką teraz toczą nie powinna być dla nich problemem. Prawda jest też taka, że na Bliskim Wschodzie toczy się wojna przede wszystkim powietrzna, a wojna ukraińsko-rosyjska to przecież wojna lądowa. Wiadomo też, że wielu najbardziej zaawansowanych broni, które są akurat wykorzystywane na Bliskim Wschodzie, wcale Ukrainie nie przekazują. I dla jasności: Amerykanie tej broni aż tak dużo Ukrainie już nie przekazują, a jeśli nawet dostarczają, to płaci za to Europa.

Chiny i Rosja, czyli sprzymierzeńcy Iranu, stoją z boku i, póki co, nie reagują.

Chiny, póki co, rzeczywiście nie reagują. Jeśli chodzi o Rosję, to jak już powiedziałem, Moskwa może z jednej strony oczywiście płakać trochę za Iranem, ale z drugiej strony - w momencie, kiedy ktoś tonie, to tlen jest dla niego ważniejszy niż ubranie, które się niszczy. Dla Rosji wzrost cen ropy jest w tym momencie darem niebios. Więc nawet jeśli Putinowi się nie podoba atak na sojusznika i pewnie oficjalnie będzie go krytykować, to ma większe zmartwienia niż Iran. Natomiast Chiny rzeczywiście przyglądają się temu, co się dzieje. One będą w tej sprawie zabierać głos i prawdopodobnie czekają, żeby tę wojnę wykorzystać w sposób maksymalnie dla siebie wygodny. Gospodarczo ta wojna oznacza dla nich ryzyko, politycznie to raczej szansa. Pytanie znowu brzmi: jak długo będzie trwać, jak zażarta ta wojna będzie, bo od tego wszystko zależy, również odpowiedź Chin. W ich przypadku nie chodzi o Iran, chodzi o globalną walkę ze Stanami Zjednoczonymi, o nastroje krajów globalnego Południa. Nie mam cienia wątpliwości, że jeśli z jednej strony stoją Stany Zjednoczone i Izrael, a z drugiej strony kraj rozwijający się, jakim jest Iran, to całe światowe Południe jest absolutnie po stronie Iranu. Pamiętajmy, że nawet kiedy Rosja napadła na Ukrainę, to większość mieszkańców Południa raczej sympatyzowała z Rosją, a nie ze wspieraną przez Zachód Ukrainą, mimo że problem winy jest jednoznaczny dla każdego, kto obserwuje tę wojnę. Tutaj mamy inną sytuację: nie dość, że z Iranem walczą nielubiane przez większość mieszkańców Południa Izrael i Stany Zjednoczone, to jeszcze w dodatku można mieć wrażenie, że to one zaatakowały Iran, a nie odwrotnie. Chiny pewnie czekają na to, żeby tę całą falę niechęci do Stanów Zjednoczonych, Izraela i w ogóle do Zachodu wykorzystać dla swojej korzyści i dla swoich celów.

Mówi się, że właściwie nikomu na eskalacji tego konfliktu nie zależy, ani Stanom Zjednoczonym, ani Chinom, ani krajom Bliskiego Wschodu.

Krajom Bliskiego Wschodu na pewno nie zależy, to oczywiste. Stany Zjednoczone też chciałyby tę wojnę szybko skończyć. Tylko zaczyna wyglądać na to, że Amerykanie zaczęli tę wojnę pod dyktando Izraela, nie bardzo wiedząc, jak ją zakończyć. Poza nadzieją, że w Iranie natychmiast dojdzie do zmiany reżimu i najlepiej – że Teheran szybko podda się. Zobaczymy, co się wydarzy, ale wydaje się, że to wojna, do której Stany wcale nie były dobrze przygotowane - wiedziały, jak ją zacząć, teraz nie wiedzą, jak ją zakończyć. W krótkim okresie wojna jest korzystna dla Izraela, któremu oczywiście zależy na zniszczeniu potencjału militarnego Iranu i wygląda na to, że to Izrael trochę wymusił ją na Stanach Zjednoczonych. W jaki sposób i dlaczego zrobił to tak skutecznie, nie wiadomo. Natomiast trzeba powiedzieć, że przez ostatnie kilkadziesiąt lat kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych starali się bardzo pilnować, żeby Izrael nie przesadził ze swoją agresywnością na Bliskim Wschodzie. Zrozumiałą z punktu widzenia interesu Izraela, natomiast niekoniecznie korzystną dla Stanów Zjednoczonych. Amerykańscy prezydenci dążyli od pół wieku do zaprowadzenia na Bliskim Wschodzie jakiegoś względnie trwałego pokoju. W tej chwili Stany Zjednoczone zaplątały się w coś, co jeśli nie skończy się szybko, to trzeba będzie nazwać polityczną awanturą, nawet jeśli w sensie militarnym będzie zwycięstwem. Europa i Azja zapłacą za to przede wszystkim cenę gospodarczą, natomiast cenę polityczną być może zapłacą Stany Zjednoczone, a zyskają Chiny. Więc czy Chiny są zainteresowane długim trwaniem tego konfliktu, czy też nie, trudno powiedzieć. Na pewno gospodarczo im to nie odpowiada, natomiast politycznie mogą mieć z tego bardzo duże korzyści.

Jak pan myśli, ten konflikt skończy się szybko, czy będzie trwał miesiącami?

Nie mam pojęcia. To zależy od wielu czynników, o których nic nie wiemy. Konflikt może się szybko skończyć w trzech przypadkach. Pierwszy - to przewrót i zmiana reżimu w Iranie, oczywiście pod warunkiem że nowy reżim będzie bardziej prozachodni. I znowu, jeśli ktoś miał na początku wrażenie, że Stany Zjednoczone mają przygotowany plan, jak do tego doprowadzić, to wygląda coraz bardziej na to, że go wcale nie miały, co nie znaczy, że scenariusz ten nie ma nadal jakichś szans realizacji. Drugi scenariusz, to oczywiście szybkie i miażdżące zwycięstwo amerykańskie, możliwe jeśli wziąć pod uwagę przewagę technologiczną Stanów Zjednoczonych i Izraela nad Iranem. Zwycięstwo rozumiane jako zniszczenie wszystkich narzędzi, za pomocą których Iran może się bronić i atakować. Zapewne specjaliści wojskowi są w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy to możliwe. Wydaje się, że tak, ale nie jest to pewne. Czy rzeczywiście Iran nie byłby w stanie blokować cieśniny Ormuz w momencie, gdyby miał zniszczone wszystkie swoje wyrzutnie rakietowe? Przecież są jeszcze drony, są różnego rodzaju działania na pograniczu partyzantki i piractwa morskiego. Iran dużych szkód tym Izraelowi nie wyrządzi, ale akurat statkom, które muszą przepływać w odległości kilkunastu kilometrów od ich brzegów, może. No i trzeci scenariusz, dość szybkiego zakończenia tego konfliktu to jakiegoś rodzaju porozumienie w sprawie zawieszenia broni. Bardzo możliwe, że Chiny są gotowe być pośrednikiem w takich rozmowach. Wszystkie te scenariusze są pewnie realne. Najbardziej prawdopodobny z trzech, o których mówiłem, jest chyba ten trzeci, to znaczy zawieszenie broni z aktywną rolą Chin, które akurat z powodów gospodarczych są takim rozwiązaniem zainteresowane. I pewnie mają przekonanie, że zyski polityczne z tej wojny tak czy owak osiągną.

eprasa.pl 528e2659f7

NA KOLEI W RODZAJU ŻEŃSKIM. DWIE NATALIE I ŻANETA

Słowo kolej jest rodzaju żeńskiego, więc dwie panie Natalie, maszynistka i kierowniczka pociągu, oraz pani Żaneta, rewidentka taboru, pokazują codziennie, że pociągi znakomicie jeżdżą pod skrzydłami kobiet. A my podglądamy, jak one rządzą w tych wagonach

Agnieszka Domka-Rybka

Natalia Ferlin z Chojnic, Natalia Szefler z Torunia oraz Żaneta Borkowska z Aleksandrowa Kujawskiego pracują w Polregio w Bydgoszczy. To największy w Polsce pasażerski przewoźnik kolejowy, specjalizujący się w trasach regionalnych.

Natalia Ferlin ma 27 lat, jest maszynistką i można o niej śmiało powiedzieć, że również jedną z pierwszych kobiet na tym stanowisku w Kujawsko-Pomorskim Zakładzie Polregio w Bydgoszczy. Bo jako pierwsza dziewczyna zdała egzamin zawodowy na maszynistkę, który półtora roku temu dał jej przepustkę do kabiny lokomotywy.

Nie każdy może oglądać wschód słońca z kabiny

- Wcześniej pracowałam w klinice dla zwierząt w Chojnicach, gdzie mieszkam. Z wykształcenia jestem magistrem zootechniki i inżynierem zoofizjoterapii. I pewnie gdybym nie zaczęła przygody z koleją, poszłabym na weterynarię. Ale... pewnego dnia mama powiedziała: „Wiesz, że teraz to nawet kobiety zostają maszynistkami? Córka znajomej jest". Zaczęło mnie to bardzo intrygować. I wtedy znalazłam na Facebooku informację o takich kursach w Polregio, w Kujawsko-Pomorskim i Pomorskim. Oczywiście do Pomorskiego miałam bliżej, ale tutaj kurs był później, a mnie zależało, żeby jak najszybciej usiąść za sterami pociągu. I tak trafiłam do Bydgoszczy. - Pamiętam, jak na początku szkolenia usiadłam w ławce, rozejrzałam się, a tam sami mężczyźni, pomyślałam: „Co ja tutaj robię?" - śmieje się pani Natalia.

Od sierpnia 2024 r. jeździ na trasach z Bydgoszczy do Torunia, Włocławka, Piły, Gdyni czy Olsztyna. Idąc na służbę najpierw melduje się u dyspozytora kolejowego, który zarządza strategicznie ruchem pociągów, koordynując pracę przewoźników i infrastruktury, aby zapewnić płynność przejazdów i bezpieczeństwo: - Informuje mnie o szczegółach dotyczących służby. Potem idę na peron, gdzie stoi mój pociąg, sprawdzam, czy wszystko z nim w porządku, przeglądam dokumentację pociągową, wchodzę do kabiny, przeprowadzam próbę hamulców i ruszam w drogę - pani Natalia opowiada, jak wygląda jej zwykły dzień w pracy. - Jadę np. z Bydgoszczy do Nakła, wracam, by zmienić kurs na Bydgoszcz - Piła i, wciąż jeszcze tego samego dnia, obieram kierunek do Włocławka.

Oczywiście, nie brakuje momentów podwyższonego napięcia. Najwięcej nerwów kosztuje maszynistkę to, co kierowcy - i to nawet zawodowi! - wyczyniają na przejazdach kolejowych. Często mrozi to krew w żyłach: - Niedaleko Nakła, tam jest dużo niestrzeżonych przejazdów kolejowych, niewiele brakowało, żeby wjechał mi pod pociąg samochód dostawczy z beczką wypełnioną szambem. Prawie był już przed kabiną, a głowę zalała mi czarna fala myśli. Zdążył wycofać się niemal w ostatniej chwili. Było bardzo blisko tragedii. Ja, na szczęście, nie przeżyłam nigdy tego, żeby mój pociąg kogoś potrącił lub zderzył się z innym pojazdem.

Co pani Natalia najbardziej lubi w swojej pracy?

- Nigdy nie można przewidzieć, co wydarzy się w ciągu dnia. To nie jest tak, że się idzie „odbębnić" swoje 8 godzin, zresztą są też dłuższe służby. A widok z kabiny wschodu lub zachodu słońca czy biegających sarenek po polach - naprawdę zachwyca! Oczywiście, pod warunkiem, że sarny nie wbiegają na tory!

Natalia Ferlin po godzinach jeździ konno: - To moja pasja od dziecka, pierwszy raz znalazłam się w siodle mając 11 lat. Jestem zakochana w koniach, w innych zwierzętach również, stąd... w sumie mogłaby jeszcze być ta weterynaria - podsumowuje aktywna maszynistka.

Jej koleżanka po fachu, Żaneta Borkowska, mieszka

REKLAMA 0011461044

System, pacjent, technologia:

XI Kongres Wyzwań Zdrowotnych uporządkuje kluczowe tematy przyszłości

Tegoroczny Kongres Wyzwań Zdrowotnych pod hasłem „Nowe strategie dla zdrowia. Czas na redefinicję celów i wyzwań" koncentruje się na konkretnych rozwiązaniach, które mają odpowiedzieć na wyzwania demograficzne, finansowe, technologiczne i klimatyczne.

Udział w wydarzeniu potwierdziła Jolanta Sobierańska-Grenda, ministra zdrowia, a dyskusje będą poprowadzone w mocnym składzie reprezentantów różnych obszarów ochrony zdrowia. W agendzie znalazły się m.in. rozmowy o reformie szpitali, granicach wytrzymałości systemu czy bezpieczeństwie w kontekście zmian geopolitycznych. Eksperci poruszą także tematy wynagrodzeń kadr i profilaktyki. Nie zabraknie również perspektywy pacjentów. Rejestracja na wydarzenie jest otwarta.

W centrum programu znajdzie się pytanie o to, jak przekładać rekomendacje ekspertów na decyzje wdrożeniowe w instytucjach i placówkach. Dlatego HCC 2026 połączy debatę strategiczną z praktycznymi warsztatami, umożliwiając uczestnikom zdobycie wiedzy niezbędnej do realnych działań w systemie ochrony zdrowia.

– Podczas kongresu nie zmienią się ustawy, ale to miejsce spotkania decydentów i uczestników rynku, gdzie można „zasiać ziarno", z którego może wyrosnąć coś potrzebnego. Jeśli kilka inicjatyw zainspiruje osoby mające realny wpływ na system, to już jest efekt. Chodzi o wypracowanie nowego spojrzenia na projektowanie zmian, które uwzględnia obecne zagrożenia i trendy – mówi **Klara Klinger**, redaktorka naczelna portalu rynekzdrowia.pl.

System pod presją: decyzje strategiczne i architektura reformy

Myślą przewodnią kongresu jest ochrona zdrowia w punkcie przecięcia kilku silnych trendów: zmian demograficznych, rosnących kosztów, napięć geopolitycznych, dynamicznego rozwoju technologii i AI oraz skutków zmian klimatycznych. System już odczuwa ich konsekwencje – od przekształceń infrastruktury po presję finansową. To moment, w którym konieczna jest redefinicja modelu opieki i odpowiedź na zupełnie nowe

potrzeby pacjentów oraz otoczenia. Dlatego sesję inauguracyjną prelegenci rozpoczną od diagnozy oraz zmierzą się z tematem granic wytrzymałości systemu. W programie, w ramach kilkudziesięciu sesji, znalazły się tematy z zakresu finansów i efektywności ich wydawania, polityki lekowej i bezpieczeństwa farmakoterapii, technologii, danych, e-zdrowia, AI i robotyki. Nie zabraknie również kwestii dotyczących cyberbezpieczeństwa, reformy szpitalnictwa i roli sektora prywatnego, jakości i bezpieczeństwa pacjentów, kadr przyszłości i kluczowych kompetencji, nowej mapy zdrowia oraz przekrojowego podejścia do pacjentów w różnym okresie życia. Uzupełnieniem agendy będą sesje tematyczne traktujące o geopolityce, klimacie i wyzwaniach związanych z jego zmianami.

Wydarzenia towarzyszące

XI Kongres Wyzwań Zdrowotnych będzie okazją do uhonorowania osób i instytucji, które działają w imię lepszej przyszłości ochrony zdrowia w Polsce. Redakcja Rynku Zdrowia po raz czwarty wręczy nagrodę **Kobieta Rynku Zdrowia** oraz rozstrzygnie konkurs **Zdrowy Samorząd**.

Trzecim wydarzeniem towarzyszącym tegorocznemu kongresowi będzie wręczenie nagrody **Animus Fortis „Mężny Duch"** – wyróżnienia ustanowionego przez dyrektora Wojskowego Instytutu Medycznego – Państwowego Instytutu Badawczego, gen. broni prof. Grzegorza Gieleraka.

W gronie ekspertów

Kongres co roku przyciąga szerokie grono uczestników z całego ekosystemu ochrony zdrowia: praktyków medycyny, ekspertów zdrowia publicznego, administrację i samorządy, a także biznes, naukę i organizacje pacjenckie. Skala wydarzenia rośnie – w poprzedniej edycji udział wzięło ponad 4600 osób, z czego 3000 pojawiło się na miejscu. Wśród zaproszonych ekspertów będą zarówno osoby odpowiedzialne za kierunki polityki zdrowotnej, jak i przedstawiciele placówek oraz środowisk wdrożeniowych. Wśród potwierdzonych prelegentów są m.in.: **Jolanta Sobierańska-Grenda**, ministra zdrowia; **Marcin Bruszewski**, prezes Innovaris Polska; **Grzegorz Cessak**, prezes Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych; **Bartłomiej Ł. Chmielowiec**, Rzecznik Praw Pacjenta; **Piotr Grzebalski,** dyrektor Biura Relacji z Sektorem Publicznym Departamentu Relacji Strategicznych Banku Gospodarstwa Krajowego; **Paweł Grzesiowski,** Główny Inspektor Sanitarny**; Ilona Hibner,** dyrektorka Departamentu Oceny Inwestycji Ministerstwa Zdrowia**; Wiktor Janicki,** prezes Związku Pracodawców Innowacyjnych Firm Farmaceutycznych INFARMA**; Przemysław Jesionowski**, prezes IC Solutions; **Katarzyna Anna Kacperczyk**, podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia; **Sławomir Kmak**, dyrektor operacyjny Medbase Polska; **Konrad Korbiński,** dyrektor Ministerstwa Zdrowia; **Filip Nowak,** prezes Narodowego Funduszu Zdrowia; **Mateusz Oczkowski**, dyrektor Departamentu Polityki Lekowej i Farmacji w Ministerstwie Zdrowia; **Paweł Ossowski**, prezes ZARYS International; **Anna Rulkiewicz**, prezeska Grupy LUX MED; **Daniel Rutkowski,** prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji; **Pia Schall**, dyrektorka Boehringer Ingelheim w Polsce; **Łukasz Sosnowski**, dyrektor Departamentu e-Zdrowia w Ministerstwie Zdrowia; **Adam Szlachta**, prezes Grupy American Heart of Poland oraz Scanmed; **Maksymilian Świniarski**, prezes TZF Polfa.

Rejestracja uczestników odbywa się za pośrednictwem strony internetowej: https://www.hccongress.pl

eprasa.pl 528e2659f7

FOT. NADESŁANE

Natalia Ferlin ma 27 lat i od półtora roku jest maszynistką

FOT. NADESŁANE

Natalia Szefler ma 29 lat, to rewidentka taboru kolejowego

FOT. NADESŁANE

Żaneta Borkowska ma 35 lat i jest kierowniczką pociągu

w Aleksandrowie Kujawskim, ma 35 lat, a na kolei pracuje od półtora roku. Trzy miesiące temu awansowała na stanowisko kierownika pociągu. - Trochę to trwało, zanim wsiadłam do pociągu. Wcześniej pracowałam z dziećmi, jako opiekunka w żłobku i przedszkolu. Przyszedł jednak taki moment, że potrzebowałam zmiany. Bez ciśnienia, powoli zaczęłam coś w tym kierunku robić. Znalazłam kilka ogłoszeń o pracy w Polregio, wysłałam CV. Zostałam zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną i, jak widać, się udało - opowiada pani Żaneta.

Również zaczynam dzień od pójścia do dyspozytora, któremu zgłaszam swoją gotowość do pracy. Przejmuję pociąg, zamieniając kilka zdań z opuszczającą go drużyną konduktorską oraz maszynistą. I jedziemy!

Bawi ją, ale podkreśla, że rozumie i nie ma z tym problemu, jak pasażerowie mylą konduktora z kierownikiem pociągu: - Dla nich każdy z nas tylko dmucha w gwizdek, sprawdza bilety i nic więcej nie robi. Jednak są obowiązki, których podróżni nie widzą. To sprawdzanie dokumentów, gdzie pasażerowie mają ewentualne przesiadki, dbanie o bezpieczeństwo w czasie jazdy, rozwiązywanie kryzysowych sytuacji. Często zdarza się, że np. ktoś wsiądzie nie do tego pociągu, co trzeba, jak ostatnio u mnie na służbie - do Ciechocinka, zamiast do Inowrocławia. I wówczas do akcji wkraczam ja, by taka osoba mogła wyjść w odpowiednim miejscu i wsiąść do innego pociągu, który dowiezie ją z powrotem na stację początkową lub tam, gdzie pierwotnie chciała dotrzeć. Kontaktuję się drużynami innych pociągów i znajduję najlepsze rozwiązanie w tej sytuacji. W naszej pracy bardzo ważna jest współpraca z maszynistami, dyżurnymi ruchu, dyspozytorami oraz odpowiednie podejście do pasażera.

Gdy zdarzy się podróżujący na gapę, również trzeba odpowiednio zareagować: - Nieraz słyszę, że ktoś nie kupił biletu, bo nie miał za co. W takich przypadkach proszę, aby wysiadł na najbliższej stacji PKP i często on chce jednak zapłacić za bilet.

Na torach dochodzi niekiedy do nieplanowanych zdarzeń: - Koledzy informują, że gdzieś doszło do wypadku i wtedy, jeśli się uda, znajdujemy możliwość objazdu tego miejsca. Zdarza się, że musimy poczekać, aby przepuścić inny pociąg. Są tacy, którzy niepokoją się, że nie zdążą na przesiadkę. Rozmawiam z nimi i wówczas proszę kolegów z drugiego pociągu, by poczekali kilka minut na mojego pasażera. Muszę być przygotowana na różne utrudnienia.

Panią Żanetę możemy spotkać w pociągach z Bydgoszczy do Torunia, Łodzi, Kutna, Iławy, Włocławka: - Z wieloma podróżnymi to się już znamy z widzenia. To bardzo miłe!

Pani z młotkiem na peronie?

- A ja to ta pani, którą czasami widzicie na peronie z młotkiem - śmieje się i zaczyna swoją historię Natalia Szefler z Torunia, ma 29 lat i jest rewidentką taboru kolejowego.

Dla niewtajemniczonych: to kluczowy pracownik odpowiedzialny za bezpieczeństwo ruchu, przeprowadza szczegółowe oględziny techniczne lokomotyw i wagonów przed wyruszeniem w trasę. Sprawdza hamulce, koła i oświetlenie, wykonuje próby hamulcowe oraz decyduje o dopuszczeniu składu do jazdy.

- Wcześniej pracowałam w Kolejowych Zakładach Usługowych w Toruniu Kluczykach. W tym czasie znalazłam ogłoszenie dotyczące pracy na stanowisku rewidenta taboru i aplikowałam na to stanowisko - w 2018 r. Wiem, że wykonuję zawód kojarzony z płcią męską, ale uwielbiam swoją pracę i uważam, że sprawdzam się w niej równie dobrze. Kiedyś byłam sprzedawcą, jednak nigdy bym już nie wróciła do handlu.

Uważa, że zmorą na kolei są graficiarze, którzy malują farbami, co i gdzie tylko się da. - Byłam świadkiem akcji w Toruniu, jak policjanci złapali ich na gorącym uczynku. Kobiety panują nad wszystkim: pociągiem, stresem i kierowcami, którzy myślą, że szlaban to tylko dekoracja. Gdyby świat działał jak one, nawet opóźnienia miałyby swój rozkład jazdy. ©℗

REKLAMA 0011478309

eprasa.pl 528e2659f7

Zbigniew Boniek kończy 70 lat. To jeden z najlepszych polskich piłkarzy. Święcił triumfy w reprezentacyjnej i klubowej piłce. Zawsze podkreśla, że ma widzewskie serce. To właśnie gdy grał w Widzewie Łódź, usłyszał o nim świat. Grał w największych klubach – Romie, Juventusie. Z reprezentacją Polski zdobył brązowy medal mistrzostw świata. Uznano go za jednego z najlepszych piłkarzy hiszpańskiego mundialu.

Anna Gronczewska

FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

W czerwcu 2025 Boniek zagrał w charytatywnym meczu gwiazd Polska – Francja. Na boisko wybiegł z opaską kapitańską

ZANIM RUDY ZOSTAŁ ZIBIM.
ZBIGNIEW BONIEK, LEGENDA POLSKIEJ PIŁKI, KOŃCZY 70 LAT

Zbigniew Boniek pochodzi z Bydgoszczy. To w tym mieście przyszedł na świat 3 marca 1956 roku. Jego ojciec Józef grał w pierwszoligowej Polonii i Zawiszy Bydgoszcz. Piłkę trenował też Roman, młodszy brat Zbigniewa, ale nie zrobił kariery.

Rodzina Bońków nie należała do bogatych. Tata grę w piłkę dzielił z pracą w Miejskim Przedsiębiorstwie Energetyki Cieplnej. Mama była tzw. chałupniczką. Szyła rękawice dla spółdzielni wojskowej. Nieraz w pracy pomagali jej Zbyszek i Romek.

Kto mu pozwolił strzelać karnego?!

Zbyszek od dziecka każdą wolną chwilę spędzał, grając w piłkę. W 1968 roku został piłkarzem Zawiszy Bydgoszcz. W pierwszej drużynie zadebiutował jako 17-latek. Było to 20 października 1973 roku. Z czasem coraz częściej występował w pierwszym składzie. Wiosną 1975 roku jego klub grał z Lechią Gdańsk. Był to ważny mecz. Klub z Bydgoszczy miał szansę walczyć o ekstraklasę. Nadeszła 88 minuta meczu. Sędzia podyktował rzut karny dla Zawiszy. Do jedenastego metra podszedł 19-letni, rudowłosy chłopak. Trafił w słupek... Gdy schodzili z boska, usłyszał głos z trybun.

– Kto pozwolił strzelać karnego temu gówniarzowi! – nastolatek dobrze usłyszał te słowa. Po chwili pojawiły się oskarżenia o sprzedaż meczu.

– Ty szmaciarzu, ty gnoju, łachmaniarzu! – miał krzyczeć mężczyzna. Boniek nie pozostał mu dłużny.

– Odp...l się, pier...ny olimpijczyku! – tak według jednej z wersji miał odpowiedzieć Zbigniew Boniek.

A człowiek, z którym wdał się w tę pyskówkę młody Boniek, był legendą Zawiszy i polskiej lekkoatletyki. To mistrz olimpijski z Rzymu w biegu na 3000 metrów z przeszkodami Zdzisław Krzyszkowiak. Na drugi dzień młody piłkarz przeprosił złotego medalistę, ale nie było już dla niego przyszłości w Bydgoszczy...

Przyszedłem tu grać w piłkę, a nie ją nosić

Zbigniew Boniek zdecydował się wtedy przenieść do Widzewa Łódź, beniaminka ekstraklasy. Legendarny prezes klubu z Łodzi, Ludwik Sobolewski, opowiadał potem, że był to najlepszy, ale też najtrudniejszy transfer. Boniek miał bowiem atrakcyjną propozycję z Lecha Poznań. Sobolewskiemu udało się mu go przekonać, że lepiej będzie mu w Łodzi...

Tak zaczęła się złota era w karierze Zbigniewa Bońka i w historii łódzkiego Widzewa. Choć początku w drużynie nie miał łatwego. Na zgrupowaniu w Spale nowy piłkarz Widzewa zaatakował ostro „Dziadka", czyli Zdzisława Kostrzewińskiego, jednego z najbardziej doświadczonych widzewiaków. Obserwował to Tadeusz Błachno, inny piłkarz tego klubu. Nie podobało mu się, że „młody" tak postąpił z doświadczonym zawodnikiem.

– Zrobiłem tzw. zachowawczy ślizg, z dwóch nóg, nikt tego nie przetrwał – wspominał potem w książce Marka Wawrzykowskiego „Wielki Widzew" Tadeusz Błachno. – A on wstał i zaczął się do mnie uśmiechać! Wtedy pomyślałem z szacunkiem, że kupiliśmy dobrego zawodnika.

Tadeusz Gapiński, były piłkarz, a potem wieloletni kierownik „Widzewa", Bońka poznał zaraz po jego przyjeździe do Łodzi. Tak narodziła się przyjaźń, która przetrwała do dziś.

– Gdy wchodził do drużyny Widzewa, miał 19 lat, był młodym chłopakiem, ale nie pozwalał sobie narzucić kanonów, które wtedy obowiązywały – opowiadał nam Tadeusz Gapiński. – Nie chciał nosić palików, worków z piłkami, co zawsze robią najmłodsi w drużynie. Mówił, że przyszedł do Widzewa grać w piłkę, a nie ją nosić! Początkowo patrzyliśmy na niego z rezerwą. Musiał też przez pewien czas czekać, zanim został uprawniony do gry. Ale jak zaczął grać w oficjalnych meczach, zobaczyliśmy, że jest mocny, pasuje do drużyny! Zdobył sobie mocną pozycję w zespole!

Zbyszek, piłka piłką, ale musisz skończyć liceum

W Łodzi mieszkał najpierw na Chojnach, w okolicach kościoła pw. Przemienienia Pańskiego, a potem przeprowadził się do segmentu na łódzkim osiedlu Falista. Przeprowadzka do Łodzi sprawiła, że musiał przerwać naukę w VI LO w Bydgoszczy.

– Pamiętam, że mama prosiła mnie, bym skończył liceum – mówił nam w wywiadzie Zbigniew Boniek. – Było wtedy zupełnie inaczej niż dziś. Nie było takiego wyścigu pomiędzy ludźmi. Nikt nie patrzył, kto ma większy samochód, kto jest bogatszy, kto kupił lepsze mieszkanie. Były inne hierarchie wartości. Ale dla mnie Łódź z tamtych czasów najgorzej nie wyglądała. Wręcz przeciwnie, miała wiele zalet. Można było jeździć ulicami bez korków. Ja z Chojen na trening na Widzewie dojeżdżałem w dziesięć minut. Teraz trzeba wyjechać czterdzieści minut wcześniej. Zmieniły się pewne relacje, ale jest to symbolem postępu. Przez rok chodziłem do liceum wieczorowego w Łodzi, bo tyle zostało mi do matury po przeprowadzce do Łodzi. W Bydgoszczy uczyłem się w renomowanym Liceum im. Śniadeckich. Gdy przyszedłem tu do szkoły wieczorowej, to muszę powiedzieć, że trochę bawiłem się w naukę. Moja wiedza była dużo większa niż innych.

Zawsze razem z Wiesią

Szybko się ożenił. Jego żoną została Wiesława, koleżanka z klasy w VI LO w Bydgoszczy.

– Chodziliśmy razem do liceum – mówił w wywiadzie dla „Gali" Zbigniew Boniek. – Wiesia zawsze była uczynna, zawsze coś wymyślała, działała. Kiedy wyprowadziliśmy się z Polski do Włoch, otworzyła sklep z odzieżą dla dzieci. Nigdy nie marudziła. Patrząc na mnie wymownie, mówiła: Nudzę się, gdzie mnie zabierzesz? Bardzo mi się ta jej przedsiębiorczość podobała.

Nadal ma swoje pasje. I swoje koleżanki, z którymi gra w karty.

Zresztą wiele rzeczy robią razem: dwa razy w tygodniu idą na kolację, grają też w swoim klubie tenisowym. Do dziś są razem i mają trójkę dzieci: 49-letnią Karolinę, 35-letnią Kamilę i 41-letniego Tomka.

Mąż Karoliny to były włoski tenisista Vincenzo Santopadre. Po swoich rodzicach odziedziczył lokal. Karolina pomaga mu prowadzić interes. Tomek mieszka w Londynie, jest ekonomistą. Karolina skończyła lingwistykę.

Czerwony Diabeł przerywa angielski sen

Boniek zawsze wiedział, czego chce. Koledzy z Widzewa czasem ze zdziwieniem słuchali jego opowieści o tym, co chce osiągnąć. Piłkarz opowiadał, że chce grać w dobrym zagranicznym klubie, co wtedy brzmiało jak opowieści z Księżyca.

eprasa.pl 528e2659f7

– Powiedział, że na pewno będzie grał za granicą – mówił Tadeusz Gapiński. – Chce mieć dom z basenem, psa, a przed jego willą będzie rosła palma.

W Widzewie szybko stał się gwiazdą. Koledzy bardzo go cenili. Choć na początku kapitanem drużyny był Stanisław Burzyński, to i tak wiadomo było, że najwięcej do powiedzenia ma właśnie Boniek. Nazywali go „Rudy", a potem „Murzyn". „Zibim" został dopiero po wyjeździe do Włoch.

Widzew zaczął odnosić sukcesy, nie tylko na krajowym podwórku. Po raz pierwszy w historii klubu zakwalifikował się do europejskich pucharów. Był 1977 rok i Widzew zajmował wtedy ostatnie miejsce w tabeli, a czekał go mecz w Anglii, z jedną najlepszych wtedy drużyn angielskich Manchesterem City. Widzew zremisował w Manchesterze 2:2. Boniek strzelił dwie bramki. Po tym meczu angielskie gazety pisały: Czerwony diabeł zdmuchnął sen City o potędze!

– Wracaliśmy z Manchesteru samolotem – opowiadał Bogusław Kukuć, nieżyjący już znany łódzki dziennikarz sportowy. – Boniek stanął między siedzeniami, w takim rozkroku i stwierdził, że Widzew powinien grać tylko w pucharach.

Bogusław Kukuć od początku opisywał sukcesy Widzewa i karierę Zbigniewa Bońka.

– Już podczas pierwszego wywiadu, jaki przeprowadziłem z nim w Łodzi, wiedziałem, że nie jest to tuzinkowa postać, choć był jeszcze młodym chłopakiem – tłumaczył. – Niektórzy nazywali to bezczelnością, ale to była pewność siebie, przekonanie o własnej wartości.

W grudniu 1981 roku Widzew grał w Poznaniu w ćwierćfinale Pucharu Polski z tamtejszym Lechem. Mecz zakończył się remisem 1:1 i o awansie decydowały karne. Boniek nie strzelił ostatniej jedenastki, Widzew odpadł. Potem w szatni przeprosił kolegów i powiedział, że każdemu z własnej kieszeni zapłaci premię za zwycięstwo, którą właśnie stracili. Nie zgodził się na to trener Władysław Żmuda.

Nieżyjący już Marek Pięta, niegdyś piłkarz Widzewa, zawsze podkreślał, że Boniek jest wielką osobowością.

– Gdy przyjechałem do Łodzi z Wałbrzycha, to on wprowadzał mnie do drużyny – wspominał Marek Pięta, który był prezesem Polskiego Związku Piłkarzy. – Gdy zobaczył, że ktoś jest dobry, to znajdował się pod jego szczególną pieczą. Raz założyliśmy się z naszymi żonami, że razem ze Zbyszkiem przygotujemy dla nich obiad. Nasze panie były pewne, że nam się nie uda. Nigdy tego przecież nie robiliśmy. I ku ich zaskoczeniu przygotowaliśmy dla naszych rodzin fantastyczny obiad. Zrobiliśmy to pierwszy i ostatni raz.

FOT. ARCHIWUM PPG

Zbigniew Boniek karierę zaczynał w Zawiszy Bydgoszcz, ale wkrótce trafił do Widzewa Łódź

FOT. JANUSZ KUBIK/ARCHIWUM PPG

Zbigniew Boniek (z lewej) brylował w Widzewie Łódź, który odnosił wtedy sukcesy także na arenie międzynarodowej

Jan Tomaszewski, legendarny polski bramkarz, brązowy medalista mistrzostw świata z 1974 roku, z Bońkiem występował w reprezentacji. Grał też w Łódzkim Klubie Sportowym, lokalnym rywalu Widzewa.

– Zbyszek zawsze był niesamowicie zadziorny – twierdzi popularny „Tomek". – Nie tylko w życiu, ale i na boisku. Choć nie miał postury gladiatora, to przed nikim nie pękał. Gdy ktoś go kopnął, to nie płakał, ale oddawał z nawiązką. Ma nieprawdopodobny charakter. To, że o Widzewie mówiono jako o drużynie z charakterem, to zasługa Zbyszka i Włodka Smolarka.

I kto jest najlepszy w Łodzi?

Jan Tomaszewski mówił nam, że piłkarze ŁKS-u i Widzewa prywatnie bardzo się szanowali, ale na boisku ostro rywalizowali.

– Nieważne było kto jest mistrzem Polski, najważniejsze było to, kto jest najlepszy w Łodzi – wyjaśnia legendarny bramkarz. – Na derby Łodzi wszyscy czekaliśmy z niecierpliwością przez kilka miesięcy.

„Tomek" pamięta jedne z takich derbów. Nie grał w nich, bo był kontuzjowany. Było wyjątkowo zimno, boisko zmrożone.

– No i Zbyszek z innymi piłkarzami Widzewa nas załatwili – opowiadał. – Był to pewnie pomysł Bońka. Kiedyś grało się z wkręconymi kołkami. Musiały mieć 12 milimetrów średnicy. Przed wyjściem na boisko sprawdzał to sędzia… A widzewiacy wpadli na diabelski pomysł. W łódzkiej fabryce „Wifama" wytoczyli im specjalne nakładki. Założyli je na korki z kolcami, takimi jakich używają lekkoatleci. Po kilku minutach te nakładki spadły z korków i po tym zmrożonym boisku widzewiacy biegali jak kozice, a piłkarze ŁKS-u się ślizgali. Przegraliśmy te derby z Widzewem.

Jan Tomaszewski jest pewny, że Boniek był też pomysłodawcą dowcipu, którego on był ofiarą. W łódzkiej restauracji „Europa" odbywał się bal, na którym ogłoszono wyniki plebiscytu na najlepszego sportowca województwa łódzkiego, który organizuje „Dziennik Łódzki". Tomaszewski wygrał ten plebiscyt.

– Potem zaczęli do mnie podchodzić widzewiacy, oczywiście razem ze Zbyszkiem, którzy chcieli ze mną wypić „kolejkę" – wspominał „Tomek". – I mnie spili! Tak, że moje wszystkie trofea zabrał trener Leszek Jezierski, bo ja o nich zapomniałem.

Zbyszek nigdy nie pęka

Jan Tomaszewski ceni jeszcze Bońka za to, że zawsze miał swoje zdanie i co najważniejsze, że się z nim zgadzał.

– Gdy młodzi wchodzili do kadry, drużyny ligowej, to zwykle nie mieli nic do gadania – tłumaczył nam Jan Tomaszewski. – Boniek od początku miał własne zdanie i dążył do celu.

W reprezentacji debiutował jeszcze w czasach, gdy prowadził ją Kazimierz Górski. Wejście miał ostre. Do kadry trafił razem z kolegami z Widzewa, bramkarzem Stanisławem Burzyńskim i obrońcą Pawłem Janasem, który po latach sam prowadził reprezentację Polski. Paweł Janas w książce „Wielki Widzew" opowiadał, że Boniek podpadł starszym kolegom, bo nie chciał nosić piłek i innego sprzętu treningowego. Nie spodobał mu się też „reprezentacyjny chrzest".

GDY WCHODZIŁ DO DRUŻYNY WIDZEWA, MIAŁ 19 LAT, BYŁ MŁODYM CHŁOPAKIEM, ALE NIE POZWALAŁ SOBIE NARZUCIĆ KANONÓW, KTÓRE WTEDY OBOWIĄZYWAŁY

– Bili nas mocno, a jego naprawdę zaczęli tłuc – wspominał Paweł Janas. – Wstał po trzech razach i powiedział, że nie będą sobie robili imprezy na jego tyłku.

Reprezentacyjny debiut zanotował wiosną 1976 roku w meczu z Argentyną. Był potem zawiedziony, że słynny trener nie zabrał go na olimpiadę w Montrealu, gdzie Polska zdobyła srebrny medal.

Gdy kadrę objął Jacek Gmoch, Boniek miał już w niej pewne miejsce, choć nie wyszedł na boisko w pierwszym składzie w inauguracyjnym meczu z Niemcami na Mundialu 1978. Na boisku pojawił się dopiero w 78 minucie.

Zakład o ślimaka

Przed mundialem w Argentynie kadra trenowała na zgrupowaniu w Rembertowie. Był to położony niemal w głuszy ośrodek wojskowy. Wokół pełno lasów i ślimaków winniczków. Kiedyś „Zibi" chwycił jednego ze ślimaków i zaczął się zastanawiać, jak Francuzi mogą je jeść.

– To prawdziwy rarytas! – zapewniał Jacek Gmoch.

Jak wspomina Jan Tomaszewski, wtedy Boniek wpadł na diabelski pomysł.

– Zaproponował, by Gmoch zjadł ślimaka! – opowiadał nam „Tomek". – Na zgrupowaniu było nas 15 czy 16. Każdy z nas miał dać po 1000 złotych, które nie miało takiej wartości jak dzisiaj… I ku zaskoczeniu wszystkich Jacek podjął wyzwanie. Wziął ślimaka i zaczął go jeść. Jak to zobaczyliśmy, to pobiegliśmy w krzaki. Ale Gmoch ślimaka zjadł! Potem Zbyszek obszedł pokoje i zebrał po „tysiącu". Trener wygrał 15 czy 16 tysięcy złotych!

Konflikt z Deyną

Podczas argentyńskiego mundialu młody piłkarz popadł w konflikt z Kazimierzem Deyną. Dziś Boniek twierdzi, że konfliktu nie było. Ale podobno do jego eskalacji doszło w Argentynie.

– Grali w ping-ponga i przegrywający musiał odejść od stołu – opowiadał Bogusław Kukuć. – Już nie pamiętam, który nie chciał odejść. I wtedy skoczyli do siebie… Po tym zaczęła krążyć opinia, że Boniek i Deyna nie mogą grać w jednej drużynie. Obaj byli wielkimi piłkarzami, ale też samcami alfa. Boniek był o wiele inteligentniejszy niż Deyna. Ale inteligencja boiskowa Deyny też była duża.

Bello di notte

Podczas mundialu w Argentynie rozbłysła gwiazda Bońka.

– Zbyszek i Adam Nawałka pojechali na te mistrzostwa jako rezerwowi – opowiadał Jan Tomaszewski. – Choć Adam w meczu z Niemcami już wszedł w pierwszym składzie. Zbyszek musiał na to poczekać do meczu z Meksykiem, w którym strzelił dwie bramki. Pokazał się światu. Jego kariera rozkwitła. Nawałce nie pozwoliło na to zdrowie.

Dziś piąte miejsce Polski na mundialu w Argentynie można uznać za sukces, ale wtedy traktowano to jak porażkę. Tymczasem o Bońku zaczęło być głośno w świecie. W 1979 roku zagrał w reprezentacji reszty świata. W pokoju mieszkał wtedy z Michelem Platinimi. Tak narodziła się ich wielka przyjaźń, która rozkwitła kilka lat później, gdy razem grali w Juventusie.

Tomaszewski podkreśla jeszcze jedną bardzo ważną cechę Bońka.

– Wiadomo, że żaden piłkarz nie jest w stanie zagrać każdego meczu na najwyższym poziomie – twierdzi „Tomek". – Zbyszek miał taką cechę, że grał bardzo dobrze wtedy, kiedy trzeba. Błyszczał zwłaszcza w światłach reflektorów. Nic dziwnego, że Włosi nazwali go piłkarzem nocy.

Afera na Okęciu

Po mundialu 78 trenerem reprezentacji został Ryszard Kulesza. Boniek był najważniejszym piłkarzem jego kadry. Ale w grudniu 1980 roku doszło do słynnej „afery na Okęciu". Bramkarz Józef Młynarczyk, kolega z Widzewa i reprezentacji, wrócił „nieświeży" do hotelu Vera, gdzie reprezentacja nocowała przed meczem eliminacyjnym mistrzostw świata z Maltą. Trener Kulesza nie chciał wziąć ze sobą Młynarczyka. W jego obronie stanęli widzewiacy: Boniek i Władysław Żmuda oraz Stanisław Terlecki z ŁKS-u. I Młynarczyk poleciał na Maltę.

Po tej aferze Boniek został zdyskwalifikowany na rok. Kary otrzymali też Młynarczyk, Żmuda, Terlecki i Smolarek. Ale Bońkowi karę skrócono. W lipcu 1981 roku wrócił do kadry Antoniego Piechniczka. Razem z nią wystąpił na mundialu 82 w Hiszpanii i został jedną z jego największych gwiazd. W meczu z Belgią strzelił 3 bramki. Trafił do większości najlepszych jedenastek turnieju. Zajął też trzecie miejsce w plebiscycie „France Football".

Za młody na transfer

Po mundialu nie wrócił do Widzewa. Przed wyjazdem na mistrzostwa świata podpisał kontrakt z włoskim Juventusem. O Bońka walczyła też Roma.

Z transferem był jeszcze jeden problem. Przez wiele lat na transfer do innego kraju pozwalano polskim piłkarzom, którzy skończyli 30 lat. Potem tę granicę wieku obniżono do 28 lat. Ale Boniek dalej na zagraniczny transfer był za młody. Miał tylko 26 lat… Dla Bońka w końcu zrobiono wyjątek. Juventus zapłacił za niego 1,8 miliona dolarów! Był to absolutny transferowy rekord na polskim rynku. Według nieoficjalnego kursu Boniek kosztował 86 milionów złotych. Mógł też trafić do słynnej Barcelony. Do Łodzi przyjechał nawet trener tego klubu, Helleno Herrera. Podobno negocjował z polskim piłkarzem przy pomocy polskiego księdza, który mówił po hiszpańsku. Ale Bońkowi zawsze podobały się Włochy. Romanistykę skończyła jego żona Wiesława.

Z Juventusem Boniek zdobył mistrzostwo Włoch, Puchar Europy, Puchar Zdobywców Pucharów. W 1985 roku przeszedł do Romy, w której trzy lata później zakończył karierę. 23 marca 1988 roku w meczu z Irlandią wystąpił ostatni raz w reprezentacji Polski. Wcześniej z reprezentacją Piechniczka zagrał na mundialu w Meksyku, ale już bez sukcesu.

Po zakończeniu kariery próbował swych sił jak trener, m.in. w Lecce i Bari. W 2002 roku przez kilka miesięcy był trenerem reprezentacji Polski, zrezygnował po przegranym meczu z Łotwą. 26 października 2012 roku wybrano go prezesem PZPN. Był nim do 2021 roku. Potem został honorowym prezesem polskiej federacji, a latach 2021-2025 pełnił funkcję wiceprezydenta UEFA.

eprasa.pl 528e2659f7

Polska
Piątek–niedziela, 6–8.03.2026

JAK LOKALNIE WZMACNIAĆ I ROZWIJAĆ POLSKĄ ENERGETYKĘ

W ubiegły poniedziałek w Szczecinie odbyło się II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski – Local First", zorganizowane przez Polska Press Grupę. – „Local content" jest filarem rozwoju. Polska chce piąć się w rankingu gospodarek – zapewnił minister aktywów państwowych Wojciech Balczun

Grzegorz Gajda

Forum „Energia z Polski - Local First" zorganizowała Polska Press Grupa, pod patronatem ministra aktywów państwowych Wojciecha Balczuna, przy współudziale marszałka województwa zachodniopomorskiego Olgierda Geblewicza. W kongresie uczestniczyło blisko 700 gości z ponad 360 firm i instytucji. Zgromadził także najważniejsze postaci polskiej polityki, gospodarki i sektora energetycznego.

Co znaczy „local content"

Debata koncentrowała się wokół pojęcia „local content" - strategii maksymalizowania udziału krajowych dostawców i podwykonawców w wielkoskalowych projektach infrastrukturalnych.

Polska zamierza stworzyć silne zaplecze produkcyjne i technologiczne dla rynku energetyki wiatrowej w całej Europie: od produkcji wież, fundamentów i kabli, przez systemy sterowania, aż po serwis i utrzymanie infrastruktury. W rzeczywistości rosnącej konkurencji wczesne zaangażowanie w budowę krajowego łańcucha dostaw może zadecydować o pozycji rynkowej lokalnych firm w kolejnych dekadach.

Strategia państwa: od definicji do ekspansji

Minister aktywów państwowych Wojciech Balczun poinformował o legislacyjnym wsparciu dla polskiego wkładu w inwestycje. W najbliższym czasie zostanie ogłoszona oficjalna definicja „local content", która będzie narzędziem chroniącym rynek przed niekontrolowanym napływem technologii spoza Polski. - Mamy coraz większą świadomość, że musimy chronić polski rynek i zabezpieczać się przed sytuacjami, w których łańcuchy dostaw mogą być przerwane, a im więcej kompetencji będziemy mieli tutaj, w Polsce, tym lepiej dla naszych firm. Chodzi o to, by ten projekt nie był tylko działaniem administracyjnym, ale wypracowaniem wspólnego ekosystemu dla gospodarki na kolejne dekady. Mamy do czynienia z czymś niewyobrażalnym, bo tak jak mówił premier Donald Tusk, w energetykę będziemy inwestować biliony złotych. W tej chwili weszliśmy w etap, na którym państwo dysponuje takimi środkami finansowymi, jakich jeszcze nigdy nie posiadaliśmy. Cała istota działania polega na tym, aby beneficjentami tych środków w ramach „local contentu" były polskie firmy - zaznaczył minister Balczun.

Według szefa resortu budowanie silnego zaplecza w Polsce będzie trampoliną do internacjonalizacji biznesu. Polskie firmy, zdobywając doświadczenie przy krajowych projektach, takich jak energetyka wiatrowa czy sektor jądrowy, mają docelowo stać się eksporterami technologii i usług na rynki zagraniczne.

To przełomowy rok dla Bałtyku

Paulina Hennig-Kloska, minister klimatu i środowiska, podsumowała dotychczasowe postępy w zazielenianiu polskiego miksu energetycznego. W ubiegłym roku Polska wyprodukowała ponad 31 proc. energii z OZE, a symbolem zastosowania idei „local content" jest farma wiatrowa Baltic Power. - W przyszłym roku farma będzie już produkować prąd dla półtora miliona gospodarstw domowych - zapowiedziała minister Hennig-Kloska, dodając: Ambicje resortu sięgają znacznie dalej, a kolejne aukcje i projekty będą projektowane z myślą o wsparciu krajowych podmiotów.

Drugim filarem sukcesu, obok technologii, jest oczywiście infrastruktura. Arkadiusz Marchewka, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, przedstawił dane dotyczące polskiej gospodarki morskiej.

W ubiegłym roku polskie porty przeładowały rekordową liczbę kontenerów, najwięcej w historii, osiągając 3,9 mln TEU.

- Zyski w ciągu dwóch lat zostały zwiększone o 50 procent i wyniosły blisko 650 mln zł - wyliczał minister Marchewka, podkreślając, że te sukcesy są dowodem na profesjonalizm kadr pracujących w polskiej gospodarce morskiej.

Tegoroczny budżet inwestycyjny przewiduje blisko 3 mld zł na infrastrukturę portową niezbędną dla obsługi farm offshore i przesyłu wyprodukowanej energii w głąb kraju.

FOT. NAC

– Istota działania polega na tym, aby beneficjentami tych środków w ramach „local contentu" były polskie firmy – zaznaczył minister Wojciech Balczun

Marszałek województwa zachodniopomorskiego Olgierd Geblewicz podkreślał, że północno-zachodnia Polska od lat buduje kompetencje w sektorze energetyki wiatrowej. To właśnie w regionie powstały jedne z pierwszych farm wiatrowych w kraju, a dziś rozwijają się tu zakłady produkcyjne, logistyka i usługi dla branży offshore. - Rozwój energetyki wiatrowej to nie tylko produkcja energii. To również miejsca pracy, nowe kompetencje i szansa na rozwój regionalnego przemysłu - wskazywał marszałek.

Zmiana zaczyna się w głowach

Ireneusz Fąfara, prezes Orlenu, zwrócił uwagę, że sukces „local content" nie zależy wyłącznie od zapisów ustawowych, ale przede wszystkim od zmiany kultury korporacyjnej i podejścia menedżerskiego.

- W obliczu globalnych turbulencji włączanie polskich przedsiębiorstw w łańcuchy dostaw oraz projekty realizowane w kraju stało się koniecznością. Potrzebna jest jednak nie tylko modyfikacja samych łańcuchów dostaw, ale przede wszystkim zmiana podejścia i sposobu myślenia. Początek każdej zmiany jest w głowach - w tym przypadku menedżerów odpowiedzialnych za zakupy i sprzedaż. To najważniejsze, ale i najtrudniejsze - podkreślił Ireneusz Fąfara.

eprasa.pl 528e2659f7

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

Wiceminister infrastruktury Arkadiusz Marchewka i prezes Orlenu Ireneusz Fąfara dyskutowali o bezpieczeństwie energetycznym Polski

FOT. POLSKA PRESS

Paulina Hennig-Kloska, minister klimatu i środowiska, podkreśliła, że w ubiegłym roku Polska wyprodukowała ponad 31 proc. energii z OZE

FOT. POLSKA PRESS

W Forum udział wzięli ministrowie oraz prezesi najważniejszych firm z branży finansowej i energetycznej. Gości witał prezes Polska Press Grupy Zenon Nowak (pierwszy z prawej)

FOT. POLSKA PRESS

Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego, wziął udział w panelu dyskusyjnym z marszałkami województw lubuskiego i wielkopolskiego

– Musimy świadomie wybierać lokalnych partnerów. W naszym DNA leży kupowanie polskich produktów, bo są dobre i nasze. Trzeba to przełożyć na procedury, język dokumentów oraz wymagania, które bywają niepotrzebnie wygórowane – dodał prezes Orlenu.

Ireneusz Fąfara zaznacza, że w obliczu globalnych turbulencji na rynkach paliwowych i surowcowych lokalni dostawcy są jedynym gwarantem stabilności. Orlen deklaruje, że idea ta znajdzie odzwierciedlenie w konkretnych procedurach zakupowych i dokumentacji przetargowej, po to, by ułatwić małym i średnim przedsiębiorstwom udział w wielkich projektach energetycznych.

Minister Arkadiusz Marchewka dodaje, że portfolio polskich firm w tym obszarze systematycznie się poszerza.

Największym problemem do tej pory był brak wiary, że lokalne przedsiębiorstwa podołają tak dużym projektom. – Musimy wzmocnić przekonanie, że możemy realizować takie przedsięwzięcia wspólnie jako polskie podmioty. Współdziałanie firm, państwa, banków i koncernów ma tu kluczowe znaczenie – podkreśla wiceminister infrastruktury Arkadiusz Marchewka.

Z kolei prezes Orlenu tłumaczy, że fundamentem skutecznego „local content" jest dostarczenie wysokiej jakości produktu lub usługi w racjonalnej cenie. To przekłada się na efektywny łańcuch dostaw i terminową realizację projektu Baltic Power.

– To nie jest kampania przeciwko komuś, lecz działanie na rzecz określonego celu. Można to realizować na różne sposoby. Przykładowo: duński Vestas rozpoczął produkcję komponentów offshore w Polsce, tutaj, w Szczecinie. Zatrudnia polskich pracowników i płaci tu podatki, a korzyści rozchodzą się po całym kraju. Przy odpowiednich warunkach współpracy wszystko to może odbywać się w Polsce – podsumował Ireneusz Fąfara.

Dyskusja o modelu gospodarczym

Forum „Energia z Polski – Local First" pokazało, że polska energetyka wiatrowa to wielki plac budowy, na którym polskie firmy chcą i mogą grać „pierwsze skrzypce". Polska stoi dziś przed momentem, który zdefiniuje jej pozycję przemysłową na kolejne dekady. Skala inwestycji w energetykę i infrastrukturę jest bezprecedensowa. Jeżeli zostanie wykorzystana do wzmocnienia polskiego kapitału, budowy kompetencji i utrwalenia krajowych łańcuchów dostaw, stanie się fundamentem realnej suwerenności przemysłowej. Podwykonawcy projektów energetycznych podkreślali jednak także skalę problemów.

Angelika Cieślowska, prezes firmy Doraco, tłumaczy: Trzeba jasno powiedzieć, że skala nadchodzących inwestycji może przerosnąć polski potencjał wykonawczy. Jeśli nie zaczniemy planować tego z wyprzedzeniem – zarówno pod kątem struktury przetargów, jak i rynku pracy – za kilka lat staniemy przed problemem niedoboru kadr i mocy przerobowych. W tym sensie dyskusja o „local content" nie dotyczy wyłącznie udziału procentowego w kontraktach, lecz modelu rozwoju gospodarczego i sposobu, w jaki państwo oraz inwestorzy publiczni rozumieją swoją odpowiedzialność za długofalowy kształt krajowego przemysłu.

Jak zauważył Zenon Nowak, prezes Polska Press Grupy, idea „Local First" nie jest tylko technokratycznym wymogiem, ale wyrazem oczekiwań społecznych. – „Local content" to przede wszystkim patriotyzm w gospodarce. Jak wskazują ostatnie badania, aż 90 procent Polaków oczekuje, by w dużych projektach finansowanych przez państwo uczestniczyły głównie firmy polskie związane bezpośrednio z naszymi regionami, z naszymi miastami – podkreślił Zenon Nowak.

Wskazał również na kluczową rolę mediów regionalnych. Informowanie o lokalnych sukcesach, edukowanie na temat korzyści płynących z transformacji i budowanie świadomości „lokalności" to misja, którą Polska Press realizuje na co dzień we wszystkich swoich tytułach internetowych i prasowych.

FOT. POLSKA PRESS

Forum relacjonowali dziennikarze „Głosu Szczecińskiego" i Strefy Biznesu

Główne wnioski płynące z kongresu „Energia z Polski – Local First"

- Konieczność legislacyjnego wsparcia – definicja „local content" ma być jasna i musi sprzyjać rodzimym wykonawcom.
- Inwestycje w porty i logistykę – bez silnego zaplecza w Szczecinie, Świnoujściu czy Gdyni offshore nie osiągnie pełnej skali.
- Zmiana paradygmatu zakupowego – większa otwartość gigantów energetycznych na współpracę z mniejszymi polskimi podwykonawcami.
- Bezpieczeństwo ponad wszystko – w dobie konfliktów i przerwanych łańcuchów dostaw własne kompetencje technologiczne to polska racja stanu.
- Polska energetyka stoi przed największą szansą od dekad. Jeśli uda się połączyć kapitał państwowy, wizję polityczną i determinację prywatnych przedsiębiorców, transformacja energetyczna stanie się nie tylko kosztem, ale przede wszystkim motorem napędowym nowoczesnej polskiej gospodarki.

II Forum „Energia z Polski – Local First"

Partner Strategiczny:
Orlen S.A.
Partnerzy Główni:
PGE Baltica, Agencja Rozwoju Przemysłu, ENEA S.A., PKO Bank Polski, PZU S.A., Orlen Neptun, Tauron, Bank Gospodarstwa Krajowego, KUKE
Patronat Honorowy:
Ministerstwo Aktywów Państwowych i Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego
Patronat Merytoryczny:
Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej

Relacja z Forum w serwisach: strefabiznesu.pl oraz gs24.pl

eprasa.pl 528e2659f7

Polska
Piątek–niedziela, 6–8.03.2026

MOŻEMY OPŁAKIWAĆ UTRATĘ MARZEŃ O ZDROWYM DZIECKU

„Książka łzami pisana" to emocjonalny poradnik dla rodziców, którzy po usłyszeniu diagnozy: „Państwa dziecko ma autyzm", próbują poskładać swój świat

Agnieszka Domanowska

Kiedy wpadła Pani na pomysł napisania poradnika dla rodziców?
To nie był pomysł – to był ratunek. Na początku, gdy dostałam diagnozę Patryka, w ogóle nie byłam w stanie w to uwierzyć. Przecież zawodowo pracowałam z takimi dziećmi! I przez długi czas głowa mi to po prostu wypierała. A kiedy już zaczęłam się z tym mierzyć, to w najtrudniejszych momentach otwierałam Worda i wyrzucałam z siebie wszystko – co mnie zirytowało, przez co przeszliśmy, co mnie bolało. Każdy taki wpis trafiał do osobnej karty, do jednego folderu. I dawało mi to ulgę. Nie robiłam tego regularnie, tylko właśnie w tych momentach, gdy nie dawałam rady.

Nie chodziła Pani na grupy wsparcia?
Nie, wzbraniałam się przed tym. Diagnoza Patryka była postawiona 13 lat temu: grupy wsparcia dopiero raczkowały, nie działały tak jak teraz. Ale też bałam się tych spotkań z innego powodu. Za każdym razem, gdy ktoś dzwonił, gdy znajoma prosiła mnie o rozmowę z kimś, kto właśnie dostał diagnozę, ja znowu przeżywałam własną. To było jak rozdrapywanie rany, która nie zdążyła się zasklepić. A za chwilę była rozdrapywana na nowo. Po każdej takiej rozmowie przez dwa dni dochodziłam do siebie, co jest zresztą z psychologicznego punktu widzenia dość niesamowite. Mówienie cały czas o tym samym powinno obniżać poziom emocjonalny lęku, strachu, żalu. A w tym przypadku tak nie działało. Ten ból był cały czas żywy. Nawet teraz, gdy mówię o tym, zaczynam odczuwać, jak drży mi głos. Więc nie chodziłam na grupy, bo bałam się ciągle krwawić, ale żeby zapewnić wsparcie innym rodzicom, stwierdziłam: napiszę książkę. Jak będą przychodzić do mnie rodzice, dam im ją. Żeby im ulżyć i żebym ja nie musiała za każdym razem wracać do tamtego miejsca.

W książce pojawia się myśl, że diagnoza to żałoba. Dlaczego?
Rodzic w momencie, gdy dostaje diagnozę, zaczyna przeżywać żałobę. Żałobę po stracie swojego wyobrażenia dziecka. Po dziecku zdrowym, o którym marzył. I nie chodzi o to, że dziecko z autyzmem nie będzie mogło czegoś osiągnąć – będzie mogło, tylko inaczej. Ale rodzic traci wyobrażenie, traci pewien obraz przyszłości. I to jest strata. Prawdziwa strata, która wymaga żałoby. A o tym się nie mówi. Nikt nie mówi rodzicowi po diagnozie: „Masz prawo to opłakiwać". Jak rodzic wie, że to, co czuje, ma nazwę i jest naturalnym etapem – że to są fazy żałoby, przez które przejdzie – to jest mu łatwiej. Bo wtedy nie myśli: „Jestem przewrażliwioną matką" albo „Co ze mną nie tak?". Rozumie, że przechodzi przez coś, przez co przejść po prostu musi. I że po drugiej stronie jest spokój. Inna rzeczywistość, ale spokój.

Kiedy rodzice dzieci w spektrum autyzmu pozwalają sobie na frustrację, na zmęczenie, na złość?
Rzadko. To jest tragedia. Większość rodziców „trzyma się w ryzach", nie jest w stanie powiedzieć: „Jestem wściekła i mam do tego prawo". Bo od razu pojawia się poczucie winy, że skoro dziecko nie rozwija się prawidłowo, to jest moja wina. To jest takie bardzo głęboko zakorzenione przekonanie. Mało który rodzic potrafi to od siebie oddzielić. Ja sama byłam w tej pułapce. Nie przyjmowałam diagnozy, przyjęłam misję. W trzech różnych placówkach usłyszałam diagnozę autyzmu i nie przyjęłam jej do wiadomości. Powiedziałam sobie: „Wyciągnę go z tego autyzmu". Tak wyglądało moje życie. Tylko nie wiedziałam, z czym walczę. Nie z systemem, nie z dzieckiem – z diagnozą. I wiele lat mi zajęło, żeby w końcu sobie odpuścić tę walkę, spojrzeć na Patryka jak na dziecko, a nie jak na kogoś, kogo prowadzę z miejsca na miejsce, z terapii na terapię.

Jak wtedy wyglądał wasz dzień?
Patryk chodził do przedszkola terapeutycznego, a po nim jechał na kolejne zajęcia. Neurologopeda, integracja sensoryczna, masaże, terapia pedagogiczna, leczenie biomedyczne. Od poniedziałku do soboty, od rana do wieczora. Zdarzała mu się tylko krótka drzemka między przedszkolem a kolejnymi zajęciami, żeby miał siłę. Byłam bardziej jego kierowcą niż jego mamą. Moja relacja z nim nie była wtedy relacją matczyną. Nie było patrzenia sobie w oczy, zabawy, zwykłej bliskości. Jakoś nie umiałam się wtedy bawić.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Marlena Jedlińska, psycholog, z 16-letnim synem Patrykiem, u którego wiele lat temu zdiagnozowano autyzm

Żyłam terapiami. To była też moja ucieczka emocjonalna – rozumiem to teraz. Jak się jest w ruchu, to nie trzeba czuć.

Kiedy to się zmieniło?
Zaczęło się, kiedy Patryk nie reagował na formy terapii, których ja byłam wyuczona. Miałam wrażenie, że jeszcze bardziej wycofuje się z kontaktu. Zaczęłam wtedy szukać niedyrektywnych form terapii. Poznałam terapię zabawą, terapię relacji, ściągałam do Białegostoku specjalistów z Warszawy, aby prowadzili z moim dzieckiem terapię metodą Son Rise. To działało, więc kontynuowałam ją później sama. Gdy Patryk miał pięć lat, wyjechaliśmy na jakiś czas do Anglii. I tam zobaczyłam zupełnie inne podejście do diagnozy: mniej terapii, więcej obecności. Byłam w szoku. I znów zaczęłam szukać innego sposobu na bycie razem. Chodziliśmy na spacery nad morze, zwiedzaliśmy okolice, siedzieliśmy razem w restauracjach, „rozmawialiśmy", robiliśmy zakupy w sklepach „charity". I dopiero wtedy nasza relacja zaczęła się naprawdę układać. Zobaczyłam swojego syna. Zobaczyłam swoje dziecko, a nie projekt do naprawy.

Jakie tematy w książce są najtrudniejsze?
Jest jedno pytanie, które siedzi w głowie każdego rodzica dziecka z niepełnosprawnością – nawet gdy je odkładamy, nawet gdy boimy się je wypowiedzieć. To pytanie brzmi: Co będzie, kiedy mnie zabraknie? W książce poświęcam temu cały rozdział. Nie daję odpowiedzi, bo jej nie ma. Ale proponuję konkretne ćwiczenia, które pomagają się z tym tematem zmierzyć, zamiast od niego uciekać. Jedno z nich to opisanie, jak funkcjonuje twoje dziecko – co lubi, czego nie lubi, jak się komunikuje, czego się boi, co je uspokaja. To jest materiał dla przyszłego opiekuna. Taka „instrukcja obsługi" dziecka. Zamiast żyć w lęku, robię plan B. I to daje spokój. Wystarczający spokój, aby swobodnie oddychać.

Jakie inne tematy porusza książka?
Seksualność dzieci z niepełnosprawnościami – temat tabu, o którym rodzice często nie wiedzą, jak mówić, bo pokutuje przekonanie, że osoby w spektrum nie mają potrzeb seksualnych. Mają, czasem nawet bardziej nasilone. Decyzja o kolejnym dziecku i towarzyszący jej strach. Jak zadbać o rodzeństwo, bo dziecko zdrowe też widzi wszystko, przeżywa i też potrzebuje uwagi rodzica. Relacja małżeńska po diagnozie, bo wiele par się rozchodzi – ojcowie często się wycofują, milczą, nie mówią o emocjach. Mój własny mąż, który od piątego roku życia Patryka aktywnie go wychowuje, chciał napisać do książki kilka słów od siebie. Powiedział: „Napisz mi pytania, ja odpowiem". I nie dał rady. Odkładał, odkładał. Nie był w stanie tego z siebie wyrzucić na papier. To milczenie niesie również coś ważnego do powiedzenia. Jest też rozdział o samotności, bo gdy pada diagnoza, robi się cicho. Nawet wśród ludzi czujemy się sami. Znika część znajomych, z niektórymi nie wiemy, jak rozmawiać, ani nie wiemy, jak prosić o pomoc. A pomocą czasem jest po prostu to, że się nie odwrócą. Pomocą może być sama obecność i proste, szczere słowa, nawet takie: „Nie wiem, co powiedzieć i jak się zachować w tej sytuacji, ale chcę, abyś wiedziała, że tu dla ciebie jestem i nie bój się prosić o pomoc". To bardzo ważne wsparcie w momencie, kiedy wali się świat po diagnozie. Bo sama strata wyobrażeń o dziecku boli, a kiedy jeszcze przy tym bliscy się odsuwają, bo nie wiedzą, jak się zachować, to boli podwójnie. Poza tym poruszam też kwestie bezpieczeństwa w domu. Pamiętam, że zakładałam klamki na klucz w każdym oknie, zamykałam drzwi i chowałam klucze. Ludzie pukali się w głowę. A ja po prostu dbałam o bezpieczeństwo Patryka. I jak wchodziłam do cudzego domu, od razu skanowałam wzrokiem, co grozi, co może trącić, gdzie może wejść. W książce jest też rozdział o instynkcie matki. I o tym, że ten instynkt ma prawo być silniejszy niż cudze opinie.

Czy rozmawiała pani z Patrykiem o tym, że jest w spektrum?
Kilka razy. Pierwsza rozmowa – nie przyjął tego, jakby nie dotarło. Trzy lata temu – znowu, poczułam, że go nie ma po tej stronie rozmowy. A dosłownie kilka dni temu spróbowałam po raz kolejny. I tym razem go ruszyło. Widziałam to fizycznie: zamarł, zrobiło mu się gorąco, zaczerwienił się. Były objawy somatyczne. Pokazywałam mu konkretne sytuacje: pamiętasz, jak byłeś na warsztatach i machałeś rękoma, gdy byłeś szczęśliwy? To jest autyzm. To jest ta część ciebie. Pokazujesz radość inaczej. Wymieniałam kilka jego zachowań, aby mu to przybliżyć. Mówiłam mu, że go kocham takiego, jakim jest. Że autyzm to nie jest nic złego. Że to inne postrzeganie świata. Byłam wzruszona, bo w końcu coś dotarło. Patryk komunikuje się czasem Mówikiem, a czasem nie – zależy od jego chęci. Więc ta rozmowa była w dużej mierze jednostronna. Ale to, co widziałam na jego twarzy, wystarczyło.

Jakie opinie spływają od rodziców, którzy już przeczytali książkę?
Że boli. I że daje ulgę. Że płakali podczas lektury, bo książka pisana łzami łzami też jest czytana. Jedna z mam napisała mi: „Przez ciało przebiegały mi dreszcze. Spisałaś swoją historię, swoje uczucia i przemyślenia, a ja, czytając, miałam wrażenie, że czytam o sobie. Mam wiele sobie do zarzucenia, a to, co piszesz, jest bardzo uwalniające. Pozwala wziąć głębszy oddech". Inna mama, która usłyszała diagnozę dziecka już wiele lat temu, napisała, że, czytając, na nowo przeżywała tamte chwile, ale że było to oczyszczające. Jakby w końcu znalazł się czas na refleksję, której wcześniej brakowało. Napisała też: „Myślę, że to prawdziwa autoterapia dla każdej mamy, która przeszła podobną drogę". A terapeutka, która poprosiła mnie o egzemplarz, napisała, że w szczery i bezpośredni sposób opisuję emocje towarzyszące rodzicom po diagnozie: zaskoczenie, lęk, dezorientację, bezradność wobec systemu, który często bardziej koncentruje się na procedurach niż na człowieku. I że przypominam rodzicom coś ważnego: rodzic, choć bez tytułów i certyfikatów, posiada nieocenioną wiedzę o swoim dziecku, opartą na bliskości, miłości i codziennej obecności. To zdanie mnie zatrzymało. Bo właśnie o to w tej książce chodzi.

Trudno było skończyć pisanie książki?
Najtrudniej było właśnie to – zakończyć. Bo życie z dzieckiem trwa dalej. Cały czas przychodziły mi do głowy kolejne tematy, kolejne ważne rzeczy. Czułam, że ta książka nie ma końca, bo ta historia nie ma końca. Ale w którymś momencie musiałam podjąć decyzję: dość, puszczam to. Żeby móc odetchnąć. Żeby ta rana mogła się w końcu zasklepić, chociaż trochę.

eprasa.pl 528e2659f7

JAK KTOŚ PIĘĆ LAT PIJE HERBATĘ Z MIODEM OD DĄBROWSKIEGO, TO STAJE SIĘ KOLARZEM

Wypatrzył na ulicy Andrzeja Mierzejewskiego, Józef Cyrankiewicz chciał z nim jeździć w drużynie, wychował setki kolarzy, uratował dzieci z pożaru na Podgórzu – Józef Dąbrowski skończył 90 lat

Joachim Przybył

Losy Józefa Dąbrowskiego spinają dwie osobiste tragedie. Miał trzy lata, gdy ojciec - żołnierz 16. pułku ułanów - zginął pod Sochaczewem podczas szarży z butelkami z benzyną na niemieckie czołgi. Po wojnie wraz z mamą i potem żoną bezskutecznie poszukiwali przez kilka lat miejsca jego pochówku, miejscowi wskazali im jedynie kilka bezimiennych nagrobków.

Pięć lat temu odeszła żona Wanda, jego wierna towarzyszka przez całe życie. Wrócili do domu z poczty, położyła się na kanapie i poprosiła o herbatę. I tak zmarła, Józef Dąbrowski zdążył jej jeszcze otrzeć łzy z policzków. Teraz żyje już sam z pszczołami, ale o tym później.

Krok od lodowiska

To życie pełne pasji, ciekawości, przygód, sportowych emocji, społecznego zaangażowania i ojcowania dziesiątkom młodych sportowców. W Małej Nieszawce zna go chyba każdy. Swego czasu był przewodniczącym komisji rewizyjnej w gminie, założył klub kolarski dla dzieci, jest związany z gminą od dziecka.

Pamięci zazdrości Józefowi Dąbrowskiemu dwa razy młodszy autor tego tekstu. 90-latek bez trudu z imienia i nazwiska wymienia rywali i przyjaciół ze sportowych aren w swoich młodzieńczych latach, pamięta swoich towarzyszy z klubu sprzed 70 lat, z uśmiechem przytacza ciekawostki ze swoich wyścigów.

Urodził się 1 marca 1936 roku w Poczałkowie koło Aleksandrowa Kujawskiego. Do sportu ciągnęło go od dziecka. Dziś jest znany wszędzie w środowisku kolarskim, ale także boksował i próbował sił w hokeju, jeszcze na lodowisku pod gołym niebem w Toruniu. Hokej bardzo mu się podobał, ściągnął go na treningi Ryszard Marach, późniejszy znakomity strzelec Pomorzanina Toruń. Dąbrowski z hokeja ostatecznie zrezygnował, bo treningi kończyły się po 22.00 i trudno mu było wracać do domu.

Ukradziona matura

Powojenny sport wymagał niebywałego hartu ducha. LZS Mała Nieszawka powstał w 1947 roku, o sprzęcie nie było mowy, chłopcy musieli mieć swoje rowery. Józef Dąbrowski w pierwszych treningach i wyścigach brał udział na zwykłej damce mamy.

- Mama postawiła mi warunek: będziesz się uczył, to będziesz mógł trenować - wspomina Dąbrowski. Wybrał liceum przemysłu drzewnego w Aleksandrowie Kujawskim, bo chciał mieć maturę. Nie było mu to dane: potrzebne były ręce do pracy, po dwóch latach klasę rozwiązano, a absolwentom przyznano wykształcenie zawodowe i skierowano na staż zawodowy.

Józef Dąbrowski został stolarzem w PKP (dziś mówi: „nie narzekam, lubiłem tę pracę"), pracował na stacji w Kluczykach, był także w zakładowej ochotniczej straży pożarnej. Pewnego dnia z kolegą uratowali parowóz, gdy w trakcie tankowania mazutu pojawił się niedopałek papierosa. Najpierw dostali burę od naczelnika, bo akcja ratunkowa groziła wybuchem i śmiercią na miejscu obu śmiałków, a potem premię i dwa tygodnie wakacji w gdańskich Stogach nad morzem.

To nie jest jego jedyna przygoda z ogniem. Kiedy wracał pewnego dnia z treningu, paliła się kamienica na Podgórzu. Józef Dąbrowski bez wahania wskoczył w ogień i uratował dwójkę dzieci, chłopca już po omacku w kłębach dymu wyciągał spod łóżka. Długie lata oboje utrzymywali z nim kontakt.

Wróćmy jednak do sportu i ukochanego kolarstwa.

- Pierwszym naszym takim kozakiem był Leszek Jankowski. W końcu powstała mocna sekcja kolarska w LZS, choć czasy były trudne. Na wyścigi jechaliśmy rowerami, jeśli były blisko lub po prostu pakowaliśmy się do pociągów. Pamiętam taki wyścig w Rzeszowie, gdzie po przesiadce w Łodzi zajechaliśmy o 9.00 na miejsca, a start był już o 10.00 - wspomina Dąbrowski.

Rosjanie gratulowali

Dumą LZS była drużyna w składzie: Józef Klimkiewicz, Józek Urbański i Józef Dąbrowski. W jednym sezonie wygrali mistrzostwa Ludowych Zrzeszeń Sportowych w drużynie na dystansie 100 km.

Innym razem na mecie dekorował kolarzy premier Cyrankiewicz, także Józef. - Przy tej okazji zagadnął, czy nie przyjęlibyśmy go do naszej drużyny Józefów, bo on też trenuje - wspomina z uśmiechem Dąbrowski.

Potem z LZS trafił do klubu na ul. Jęczmiennej w Toruniu, który po kilku latach decyzją wojewody Stanisława Trokowskiego został przekształcony w Agromel ze wsparciem sektora rolnego. - Tu było już więcej sprzętu, przerzutki, lepsze opony. Ścigaliśmy się już wtedy z najlepszymi, zwiedziłem Polskę wzdłuż i w poprzek - wspomina pan Józef.

FOT. MIKOŁAJ KURAS/UMWKP

Z okazji 90. urodzin Józef Dąbrowski otrzymał Honorową Odznakę za Zasługi dla Województwa Kujawsko-Pomorskiego

Jedną z cenniejszych pamiątek Dąbrowskiego jest numer startowy 9, który miał na plecach w trakcie Memoriału Pułkownika Skopenki w Sandomierzu, bardzo cenionego międzynarodowego wyścigu. W 1959 roku Dąbrowski znalazł się w decydującej ucieczce, w towarzystwie m.in. Wiktora Kapitonowa, Jurija Mielichowa, Anatolija Czerepowicza, samych medalistów olimpijskich i mistrzostw świata!

- Było nas sześciu w grupie, do mety w Kielcach zostało 600 metrów, gdy skoczyłem do przodu. Była kostka i jeszcze padało. Na ostatnim zakręcie zerknąłem za plecy, jak daleko są rywale i w tym momencie siła odśrodkowa wyrzuciła mnie z drogi. Finiszowałem czwarty. Trener Józef Tropaczyński powiedział mi, „Józek, coś ty zrobił, przecież wygrałbyś!", potem jednak dodał „Zapamiętaj, z kim się ścigałeś". Nawet Rosjanie mi wtedy gratulowali - wspomina Dąbrowski.

Miał oko do gwiazd

W Agromelu ścigał się do 1963 roku, potem płynnie wskoczył w rolę trenera. - Byłem sprawny i potrafiłem myśleć. Większość moich kolegów rozliczyła się ze sprzętu, mnie kolarstwo tak chwyciło, że zostałem trenerem.

Do kolarskich talentów Dąbrowski miał świetne oko. Na jednym treningu szkoleniowiec jechał na motorze za grupą swoich wychowanków z Agromelu. Nagle z bocznej ulicy wypada chłopak na damce i pędzi obok kolarzy. - Podjeżdżam więc do niego i pytam, czy lubi jeździć na rowerze, „no" pada odpowiedź. A nie chcesz trenować w klubie? „No". To podałem mu adres - wspomina.

Na drugi dzień przyszedł, „nazywam się Andrzej Mierzejewski". Dziś to legenda toruńskiego kolarstwa, trzykrotny zwycięzca Tour de Pologne, olimpijczyk z Seulu, który był o krok od medalu mistrzostw świata w 1987 roku.

Kolarstwa od Dąbrowskiego uczyli się także Michał Gołaś - mistrz Polski i kolejny olimpijczyk z Rio de Janeiro, Grzegorz Piwowarski, olimpijczyk z Barcelony, Leszek Szyszkowski, dziś trener kolarek z Pacificu i wreszcie cały zastęp trenerów w regionie z Marianem Krychem i Wiesławem Młodziankiewiczem na czele.

Te same wspomnienia

Ilu wychował kolarzy? Nie jest w stanie policzyć, to już byłoby w setkach. Talenty znajdował dzięki znajomościom w szkołach, jeździł oglądać zawody szkolne i gminne dla najmłodszych. Dąbrowski miał naturalny talent pedagoga, dla swoich zawodników był nie tylko trenerem, ale też mentorem i przyjacielem. Jego podopieczni wspominają, że trener nigdy nie krzyczał, a zawsze można było na nim polegać.

Michał Gołaś: - Trener Józef wszystko robi z prawdziwą pasją. Miał niesamowitą charyzmę, ćwiczył zwykle razem z nami, nawet w wieku ponad 60 lat grał z nami w piłkę zimą w śniegu, na każdego z nas czekała herbata z miodem przy kaflowym piecu, w stodole miał magazyn części rowerowych. Zawsze mogłem na niego liczyć. Nawet gdy już ścigałem się w zawodowej grupie, to oglądał moje wyścigi. Gdy rozmawiamy w gronie jego wychowanków, to wiesz co? Każdy z nas ma podobne wspomnienia i wszystkie dobre.

- Pamiętam chłopaka z Golubia-Dobrzynia, Bonieckiego, pochodził z bardzo biednej rodziny, ryby łowili w potoku, żeby się wyżywić. Nie zawsze mógł przyjeżdżać na treningi, to przygotowałem mu indywidualny plan treningów. Potem wyjechał do USA, a niedawno przyjechał na święta. Siedzieliśmy przy stole i w pewnym momencie zapytał, czy może mi mówić po imieniu „bo to Ty byłeś dla mnie prawdziwym ojcem", tak wyjaśnił. Nic przyjemniejszego trener nie może usłyszeć od swojego zawodnika - przyznaje Dąbrowski.

Wszyscy są synami

Ostatnim etapem kariery trenerskiej był UKS Iskra Mała Nieszawka, ten klub Dąbrowski stworzył od zera w 1997 roku i przez dwadzieścia kolejnych lat wyszukiwał w całym regionie utalentowanych chłopców. Na emeryturę przeszedł w 2016 roku.

- Zawsze kochałem sport i nigdy nie żałowałem swoich wyborów w życiu. Wszyscy kolarze to moi synowie, jestem dumny z każdego ich osiągnięcia i nie mam na myśli tylko zwycięstw. Pamiętam Sebastiana Sacharuka, wyścig w Lesznie, burza, grad i on jeden dojechał do mety ze 120 kolarzy. Teraz wciąż zaglądam na wyścigi dzieci i młodzieży, czasami wsiadam do samochodu i jadę z trenerami za zawodnikami. Pytają mnie o zdanie, ale najczęściej odpowiadam „teraz to ty jesteś trenerem, ja może później ci powiem, co mogłeś zrobić inaczej" - podkreśla.

Wujek kazał liczyć pszczoły

Latem najwięcej czasu spędza z pszczołami, to jego druga pasja w życiu. O tych pożytecznych owadach opowiada z równą pasją i jest pszczelarzem od ponad pół wieku.

- Jeździłem latem na wakacje do wujka, który miał ule. Bardzo mnie to zainteresowało, jak te pszczoły nie zderzają się, jak odnajdują drogę, jak tworzą społeczność. Jednego dnia kazał mi liczyć pszczoły w jednej rodzinie, to zacząłem, a tu jedne wylatują z pasieki i drugie wracają. Nauczył mnie wtedy, że trzeba je uśpić i zapałeczką jedną po drugiej policzyć, a jest ich w jednej rodzinie nawet piętnaście tysięcy. I tak to się zaczęło - opowiada Dąbrowski.

Mimo 90. urodzin wciąż pracuje przy pszczołach i produkuje miód z dwudziestu uli. - Następnym razem będę miał słoik dla pana redaktora - obiecuje. - Wie pan, co się mówi u nas? Że jak ktoś pięć lat pije herbatę z miodem od Dąbrowskiego, to staje się kolarzem.

©℗

eprasa.pl 528e2659f7

Polska
Piątek–niedziela, 6–8.03.2026

– Janina nie musiała iść na wojnę, bo najpewniej nie miała w ręku karty mobilizacyjnej, a jednak poszła. Wiedziała, że musi przystąpić do walki – mówi Agata Puścikowska. W jej książce Janina Lewandowska, córka generała i ofiara Katynia, jest kobietą, która świadomie wybiera działanie, odpowiedzialność i służbę

Anita Czupryn

AGATA PUŚCIKOWSKA: PRAWDA O JANINIE LEWANDOWSKIEJ OKAZAŁA SIĘ CIEKAWSZA NIŻ LEGENDA

Kiedy pierwszy raz usłyszała pani o Janinie Lewandowskiej i co panią w tej postaci poruszyło?
Po raz pierwszy usłyszałam o niej, czy raczej zobaczyłam, podczas Katyńskiego Marszu Cieni w Warszawie, kilkanaście lat temu. To było mocne doświadczenie: kobieta pośród tych wszystkich oficerów - mężczyzn! Oczywiście wcześniej coś do mnie docierało, ale dopiero wtedy, na Marszu Cieni, jak każda z postaci, została symbolicznie przywołana, ucieleśniona przez konkretnego człowieka. Kilka lat później w Janinę wcieliła się także córka mojej przyjaciółki. Była harcerką, bardzo mocno to przeżywała. To również było dla mnie poruszające. Sam Marsz Cieni jest doświadczeniem wstrząsającym. Nagle ci ludzie przestają być tylko nazwiskami z podręcznika albo bohaterami historycznej narracji. Oni idą, ku śmierci. I to robi zupełnie inne wrażenie, niż kiedy się o nich jedynie czyta czy słyszy. Janina pojawiła się w mojej świadomości właśnie w taki sposób. Później było mi wręcz wstyd, że wiedziałam o niej tak mało. Choć prawda jest też taka, że mało kto wtedy wiedział więcej.

Czy od początku Janina Lewandowska była dla pani przede wszystkim kobietą zamordowaną w Katyniu? Nie miała pani poczucia, że historia ją po prostu upraszcza?
Wtedy w ogóle jej nie znałam. Dopiero kilka lat później dowiedziałam się, że kobiet w obozach specjalnych NKWD było więcej. Że były także inne miejsca kaźni, inne kobiece losy, o których prawie się nie mówi. Miałam wtedy pomysł, żeby napisać o tych kobietach książkę dokumentalną, przeznaczyć po jednym rozdziale o każdej z nich. Projekt ostatecznie nie doszedł do skutku, między innymi dlatego, że uznałam, iż nie starczy materiału i źródeł, by szerzej opisać każdą bohaterkę. Kiedy jednak zaczęłam zbierać materiały do książki o Janinie, istniały już oczywiście pewne opracowania i badania. Choć najwięcej można było znaleźć dość kiepskich tekstów w internecie.

Że była córką generała, że była lotniczką, że zginęła w Katyniu, że skakała ze spadochronem?
To wszystko tylko część prawdy. Bo chociażby pokutowała informacja, że Janina skakała z... pięciu tysięcy metrów. Wtedy jeszcze nie przyszło mi do głowy, że to musi być kompletna bzdura. Musiało trochę czasu minąć, żebym sprawą zajęła się na poważnie. Katyniem interesowałam się od zawsze, więc Janina w pewnym sensie sama do mnie wróciła. Wydawnictwo zaproponowało mi napisanie jej biografii. Na początku podeszłam do tego pomysłu z dużą ostrożnością. Pomyślałam: sięgnę po te same dokumenty, te same znane źródła i powstanie kolejna książka, która nie wniesie nic nowego. Tym bardziej że istniały już jej biografie; niezbyt udane, obciążone błędami. Ostatecznie jednak dałam się przekonać. I bardzo dobrze, bo okazało się, że nieprawdą jest, iż o Janinie i jej rodzinie nie da się już ustalić nic więcej. Dotarłam do Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Lusowie. Tam spotkałam wspaniałych muzealników, młodych historyków, którzy dysponują ogromem nieopublikowanych materiałów dotyczących całej tej rodziny. Są tam między innymi listy generała do Stefanii Wańkowiczowej, wspomnienia zebrane w latach dziewięćdziesiątych od ludzi, którzy jeszcze tę rodzinę pamiętali, a także materiały gromadzone przez państwa Grajków. Dla mnie to był prawdziwy skarb. Z jednej strony było to więc wielkie odkrycie, z drugiej - dojmujące doświadczenie. Poza tym - owi muzealnicy mieli też wiedzę na temat środowiska Janiny, realiów międzywojnia, itd. Wspólnie dochodziliśmy też do wielu ustaleń. I moje intuicje, że wiele informacji, które powtarzano o Janinie, to półprawdy albo zwykłe mity. Czy mnie to ucieszyło? Dopiero wtedy naprawdę zaczęłam się zastanawiać, czy dam radę to unieść. Obalanie legend, które zdążyły przylgnąć do człowieka, nigdy nie jest łatwe. Nie chciałam być „autorką obrazoburczą" - jak już ktoś raczył stwierdzić. Ale trudno - mówić prawdę trzeba, a prawda w przypadku Janiny okazała się znacznie ciekawsza niż fikcja. Janina oczyszczona z mitów i uproszczeń wydała mi się po prostu dużo bardziej interesująca. Szybko też się okazało, że przy każdym kolejnym odkrytym tropie muszę postawić sobie nie jeden, lecz pięć znaków zapytania. Tak to już z Janiną jest...

JANINA LEWANDOWSKA OCZYSZCZONA Z MITÓW I UPROSZCZEŃ WYDAŁA MI SIĘ PO PROSTU DUŻO BARDZIEJ INTERESUJĄCA

Jej rodzinne relacje były skomplikowane, prawda?
Tak, zdecydowanie. W tej historii nie da się stosować prostych odpowiedzi ani łatwych ocen. Janina zginęła bardzo dawno temu, wojna rozbiła całą rodzinę, dokumenty się rozproszyły. I do dziś właściwie nie wiemy, co jeszcze mogło przetrwać. Czy istnieje gdzieś jakiś nieznany pamiętnik Janiny, o którym czasem można przeczytać, ale którego nikt z historyków nie widział na oczy? Czy zachowały się listy, o których nikt jeszcze nie wie? Być może kiedyś wypłynie coś nowego i wtedy tę opowieść będzie można dopełnić. Tego nigdy nie da się wykluczyć. Mam jednak nadzieję, że już to, co udało mi się ustalić, przebije się do świadomości i naprawi jej obraz, przybliży do prawdy. Najbardziej jaskrawy przykład to słynne skakanie z pięciu tysięcy metrów: miała skakać jako bardzo młoda osoba. Tymczasem w czasach, kiedy polskie cywilne spadochroniarstwo dopiero raczkowało, coś takiego było zwyczajnie niemożliwe. Cywilne skoki zaczęły się u nas dopiero w 1936 roku. Janina rzeczywiście skakała, ale dopiero w 1938 i 1939 roku. I nie z pięciu tysięcy metrów, tylko z kilkuset, może właśnie pięciuset, a komuś „dopisało się" jedno zero. Czy to czyni ją mniej odważną? Oczywiście, że nie. Była niezwykle odważną, imponującą dziewczyną.

Tych mitów, które musiała pani odbrązowić, było więcej. Jakie jeszcze?
Trudno mówić o odbrązawianiu, bo to była po prostu nieprawda, więc należało napisać tę historię trochę od nowa. I dotyczyło to nie tylko samej Janiny, ale także jej rodziny. To nie była rodzina, która idyllicznie spijała sobie z dziobków. Czasem mówię, że oni się kochali, ale nie wiem, czy do końca się lubili, bo wszyscy mieli bardzo silne i bardzo różne charaktery. Te relacje nie były różowe. Ale też nieprawdą jest też to, co gdzieś napisano, że ojciec był tyranem. Bardzo kochał swoje dzieci i bardzo o nie dbał. Owszem, był człowiekiem trochę z innej epoki, trochę XIX-wiecznym w obyczaju, ale starał się jak potrafił. Było to trudne, bo przecież wychowywał je sam - jako wdowiec. To właśnie wychodzi z listów do Stefanii Wańkowiczowej. Warto te relacje opowiedzieć na nowo. Być może kiedyś te listy zostaną wydane naukowo, bo naprawdę warto.

Dlaczego wybrała pani taką formę, pomiędzy dokumentem a literacką opowieścią?
Dlatego, że nie chciałam pisać czegoś, co będzie po prostu zimne i niedostępne dla ludzi. Chciałam, żeby ludzie mogli wejść do środka tej historii. Zależało mi na tym, by było to bliskie. Ale podkreślam: tam nie ma fikcji w sensie fałszowania prawdy, dopowiadania czegoś niezbadanego. Jeśli coś lekko nadbudowuję, to wyłącznie rzeczy drobne, nieistotne z punktu widzenia faktów, a oparte na źródłach. Na przykład jeśli wiem, że Janina była bardzo ciężko chora, a to również było dla mnie odkrycie, bo ta choroba była naprawdę poważna i trwała kilka lat, to mogę budować scenę zgodną z wiedzą o jej stanie. Nie wiemy przecież dokładnie, jak przebiegała każda konkretna sytuacja. Wiemy, że mdlała w szkole, że przez chorobę przerwała naukę. To wszystko opisuję zgodnie z relacjami jej ojca w listach. Jeżeli więc buduję scenę, w której coś dzieje się w szkole, to nie jest to nieprawda, tylko literackie przybliżenie zdarzenia, o którym wiemy, że miało miejsce. Podobnie, jeśli wiadomo z różnych relacji, że z siostrą Gusią potrafiły się kłócić, docinać sobie, to można stworzyć krótką scenę pokazującą dynamikę tej relacji, bez fałszowania jej sensu. Do września 1939 roku te sceny są mocno osadzone w dokumentach, do których dotarłam. Problem zaczyna się oczywiście później, ale i tam starałam się operować wyłącznie tym, co zostało poświadczone. Najważniejsza była dla mnie prawda historyczna. Doktor Ewa Kowalska z IPN-u bardzo pilnowała, żeby wszystko było rzeczywi-

eprasa.pl 528e2659f7

FOT. CC

Agata Puścikowska: Janina Lewandowska to była kobieta, która bardzo dużo przeszła, miała w życiu zdarzenia traumatyczne i być może właśnie dlatego trochę szarpała się z życiem

ście zgodne z ustaleniami. Na szczęście zachowały się wspomnienia osób, które Janinę spotkały w Kozielsku. I to jest bezcenne. Nie mamy oczywiście dosłownych zapisów rozmów, ale wiemy, że była uprzejma, miła, że była blisko księdza Ziółkowskiego – wypiekała dla jeńców komunikanty, że wielu ludzi wspominało ją jako lotniczkę, kobietę dzielną. Ja to wszystko cytuję i wplatam w sceny.

Jaka naprawdę była Janina Lewandowska, kiedy zdejmie się z niej mundur, odrzuci legendę i ten tragiczny finał? Co pani w niej zobaczyła?
Kobietę, która poszukiwała własnej drogi. Wiem, że to brzmi górnolotnie, ale tak właśnie było i to nie na jakimś wielkim, patetycznym poziomie, tylko bardzo ludzkim. To była kobieta, która bardzo dużo przeszła, miała w życiu zdarzenia traumatyczne i być może właśnie dlatego trochę szarpała się z życiem. Ucieczka w dzieciństwie przed bolszewikami, śmierć matki, ciężka choroba, później niejednoznaczne relacje rodzinne, nieudana kariera sceniczna…

Która z tych cech: zagubienie, ambicja, walka o zdrowie, o przyszłość, niejednoznaczne relacje była pani szczególnie bliska?
Chyba wszystkie. Ale też nie wiem, czy ja bym się z nią naprawdę zaprzyjaźniła. Cały czas ją poznaję…

Czy ona pani imponowała?
Z pewnością. Pozostaję z nią w jakiejś relacji. Do dziś nie umiem tego jednoznacznie określić. Jeśli jednak chodzi o charakter, pewnie bliżej mi do Gusi, jej młodszej siostry – to była taka radosna i nieco szalona dziewczyna. Janina była chyba bardziej stonowana. Natomiast to, co było mi w niej bardzo bliskie, odkryłam właśnie dzięki kolegom z muzeum w Lusowie i dzięki przedwojennej prasie. To jest bardzo ważne: o Janinie sporo pisano jeszcze przed wojną, bo była wtedy kimś w rodzaju celebrytki. Gdzie się pojawiała, tam prasa to odnotowywała; wiadomo, córka generała Dowbora-Muśnickiego, więc każdy jej ruch skrupulatnie zapisywano. Ale dzięki temu współczesny autor może dziś grzebać w zdigitalizowanej prasie i wydobywać z niej mnóstwo rzeczy.

Co warto dziś o Janinie wiedzieć, żeby nie sprowadzać jej tylko do jednego faktu, że była jedyną kobietą zamordowaną w Katyniu?
Że to jest opowieść w ogóle o życiu, i o człowieku. Dla mnie jest jasne, że chodzi tu o zdrowie, wykształcenie, tożsamość, miłość. I wreszcie o wybór. Przecież ona nie musiała iść na wojnę, bo najpewniej nie miała w ręku karty mobilizacyjnej, a jednak poszła. Poszła z imperatywu: „wróg atakuje mój kraj, muszę stanąć w obronie". To jest dla mnie bardzo ważne. Janina była zresztą „juzistką", czyli przeszła szkolenie radiotelegraficzne. Odbyła niemal roczne szkolenie przygotowujące wszechstronnie kobiety na wypadek wojny w formacji prawie wojskowej. Z własnej woli spędziła rok w takim rygorze, w mundurze, ucząc się całego szeregu rzeczy związanych z łącznością, sanitariatem, funkcjonowaniem w sytuacji zagrożenia. I kiedy wybuchła wojna, ona wiedziała, że musi przystąpić do walki, do działania.

Zastanawiałam się, czy znaczenie miała tu legenda jej ojca. Chciała zasłużyć na jego uznanie, na jego miłość? Czy to ją ukształtowało?
Nie wydaje mi się. Wcześniej taka narracja była lansowana, ale nie znajduję na to potwierdzenia ani w źródłach, ani we wspomnieniach. Ojciec ją kochał i naprawdę dobrze traktował. Oczywiście, jak w każdej rodzinie, były konflikty, to naturalne, ale kiedy Janina chorowała, on drżał o nią, jeździł, wydawał pieniądze na leczenie, szukał pomocy. Więc nie widzę tu jakiejś historii zimnego tyrana i biednego dziewczęcia, które musi „zasłużyć" na miłość. Jeśli już miałabym coś psychologizować, to raczej powiedziałabym, że większym doświadczeniem granicznym był brak matki. Janina miała niespełna dwanaście lat, kiedy matka zmarła. I nagle, kiedy zaczynało się piękne życie, piękne miejsce, piękny dom, to matka umiera, a Janina zostaje półsierotą. To zostawiło w niej bolesny ślad.

Zbierała pani okruchy jej życia z dokumentów, wspomnień, nawet przemilczeń. Czy było takie znalezisko, które stało się przełomem? Po którym Janina zrobiła się dla pani bardziej żywa?
Bardzo dużo dała mi przedwojenna prasa. I oczywiście listy generała Dowbora do Stefanii Wańkowiczowej; to jest źródło absolutnie szczególne. On tam pisze o swoich dzieciach, o relacjach w domu, o swoich uczuciach. Pisze (tu parafrazuję) do Stefanii: „Kochałem w całym życiu tylko dzieci i ciebie". O żonie (już wtedy nieżyjącej), milczy… To niesamowite, bo nagle ten człowiek wychodzi z pomnika. A druga rzecz to właśnie prasa. Bo tam widać Janinę żywą: działa, jedzie, uczy się, angażuje społecznie, choćby w pomoc kombatantom Powstania Wielkopolskiego. Są jeszcze obszary niezbadane, ale już to pokazuje bardzo wiele. I jest też quasireportaż, który cytuję w całości, kiedy to Janina (!) opisuje szkolenie szybowcowe. To było dla mnie fascynujące, bo styl pisania bardzo dużo mówi o człowieku. Dla mnie, jako osoby pracującej piórem, to było niezwykle ciekawe. Janina pisała z humorem, z dystansem, z lekkością. Jest tam opis, że deszcz lał, było paskudnie, więc „czepiliśmy się skrzydła wiatraka" i tak ćwiczyli. Pomyślałam: to niemożliwe. Skonsultowałam to z szybowniczką i historyczką dr Hanną Radziejowską, a ona powiedziała: jak najbardziej możliwe. Ci młodzi ludzie łapali się wszystkiego, bo nie mieli jeszcze takiego sprzętu jak dziś. I wtedy nagle widzi się jej odwagę, pasję, poczucie humoru, koloryt człowieka. Widać, że była błyskotliwa, wrażliwa, zabawna, a zarazem bardzo dzielna. I że latanie było jej prawdziwą pasją.

Czy to, że w historii Katynia pojawia się Janina Lewandowska, z tak charakterystyczną biografią, coś zmienia w naszym myśleniu? Czy można mieć wrażenie, że przez lata Janina była trochę niewygodna dla zbiorowej wyobraźni o Katyniu, bo nie mieściła się w tym męskim, oficerskim obrazie?
Nie, chyba nie traktowałabym tego w ten sposób. Po prostu przez długi czas w ogóle nie można było mówić o Katyniu, więc tym bardziej nie można było mówić o Janinie. To jest proces dochodzenia do prawdy, który trwa. I dobrze, że dziś coraz głośniej mówi się o kobietach w obozach specjalnych. Bada to między innymi Ewa Kowalska, ale nie tylko ona. Dla mnie równie wstrząsające było to, kiedy dowiedziałam się o dzieciach w obozach specjalnych. Postać Władzia, którą opisuję, nie jest przecież fikcyjna. Tych dzieci było więcej, zwłaszcza w Ostaszkowie, ale nie tylko. Część zwalniano, część później i tak ginęła „w niewyjaśnionych okolicznościach", część znikała w tych miejscach kaźni, czasem byli odnotowywani jako siedemnastoletni chłopcy. To także jest kolejny etap odkrywania Katynia. Tyle że bez dalszych badań i bez dokumentów, które nadal są w Moskwie, będzie to ogromnie trudne. I wymaga czasu.

Oglądała pani film „Pojedynek", który miał właśnie swoją premierę? W jaki sposób, ze swoją wiedzą i wyobrażeniem Janiny, widzi pani tę postać graną przez Julię Pietruchę?
Widziałam fragmenty; wybieram się oczywiście na film, ale raczej zawodowo, bo prywatnie nie przepadam za tego typu kinem. Słyszałam jednak, że film jest niezły. Natomiast jeśli chodzi o postać Janiny, to jest to kreacja niestety mocno przesadzona. Mogę to powiedzieć wprost. Nie jest możliwe, żeby kobieta w Kozielsku biegała z rozpuszczonymi włosami do pasa. To jest po prostu niewiarygodne. Warunki sanitarne były takie, że te włosy należałoby ściąć z bardzo prostego powodu: wszy, insekty, brak możliwości dbania o higienę. I to jest dla mnie trochę niepoważne, bo przecież to istotna postać i można było z większym sensem oddać sceny z nią. Tym bardziej, że fotografie prawdziwej Janiny są dostępne. Ona była wysoka, ale miała ciemne, krótkie włosy, śniadą cerę. Więc tak, „czepiam" się tych włosów, ale proszę mi wierzyć, to jest istotne. Bo ktoś, kto nie zna warunków w Kozielsku, patrzy na to i myśli: ot, biega sobie czupurna dziewczyna, krzyczy. Tymczasem Kozielsk to były warunki dramatyczne, a temperatury schodziły do minus 40 stopni. Te sceny, w których bohaterka histeryzuje, wrzeszczy, to w ogóle nie była Janina. Nie zachowywała się w ten sposób, nie mogła się zachowywać, zwłaszcza na oczach enkawudzistów. Starała się z pewnością nie prowokować, nie ujawniać szeroko płci – ze względów bezpieczeństwa. Ukrywała tożsamość! Zresztą była chroniona przez polskich oficerów, którzy traktowali ją godnie i opiekowali się nią. Dobrze chociaż, że Julia Pietrucha ma niebieskie oczy. Janina miała niebieskie, a właściwie szafirowe – takie jej opisy zachowały się w wielu wspomnieniach.

KSIĄŻKA

Agata Puścikowska, Lotniczka. Opowieść o Janinie Lewandowskiej, Wydawnictwo: Znak

eprasa.pl 528e2659f7

PŁYTA CD I REWOLUCJA W ŚWIECIE MELOMANÓW

Pierwsze płyty CD, w postaci niewielkich srebrnych krążków, zostały po raz pierwszy zaprezentowane 8 marca 1979 roku w Eindhoven

Mariusz Grabowski

Nie obyło się bez kłopotów: testowa płyta wsunięta do odtwarzacza po prostu się zacięła. Potem kilkakrotnie zgasł odczyt laserowy, przerywając uczestnikom kontemplację VIII Symfonii h-moll Franza Schuberta. Ale i tak wrażenie było kolosalne – w świecie audio rozpoczęła się nowa era.

Koniec winyli?

Zacznijmy od danych technicznych. Ówczesne compact dyski wydawały się nośnikiem doskonałym: miały szerokie pasmo przenoszenia (około 20 Hz-20 kHz), dynamikę przekraczającą 90 dB, gęstość zapisu umożliwiająca zarejestrowanie godzinnego programu na dysku o średnicy 12 cm. Zastosowano w niej mechanizm nagrywania i odczytu optycznego. Krążki były wygodne w użyciu i – jak głosiło hasło reklamowe Philipsa – „niezniszczalne". Walorem CD było wygodne odtwarzanie krążków w odtwarzaczu – w wysuwanej szufladzie (tacce).

Producenci nie ukrywali, że wprowadzając na rynek odtwarzacz CD, chcą zastąpić gramofon analogowy i kasety magnetofonowe. Przyszłość potwierdziła te zamiary: na przestrzeni 25 lat od chwili debiutu tego formatu wytłoczono 200 mld płyt CD, a katalog płyt CD zawiera przynajmniej setki tysięcy albumów muzycznych. Tylko w 1988 roku sprzedano ponad 390 mln srebrnych krążków na całym świecie.

Pierwszy był Russell

W tekście „CD – to nie tylko muzyka", zamieszczonym w „Audio Video Hi Fi" w 1987 r., można było przeczytać, że za ojca wynalazku można uznać Jamesa T. Russella, który w 1970 r. odkrył, że istnieje możliwość nagrywania cyfrowych informacji na przezroczystej folii oświetlanej od tyłu za pomocą lamp halogenowych o wysokiej mocy.

Pomysł podchwyciły firmy Sony i Philips, które przez lata prowadziły konkurencyjne prace nad opracowaniem sposobu wykorzystania pomysłu Russella. Wyścig wygrał Philips, głównie dzięki badaniom inż. Keesa Schouhamera Imminka, zaś pierwsze płyty CD zostały wytłoczone 17 sierpnia 1982 r. w Langenhagen w Dolnej Saksonii, w fabryce firmy PolyGram (w Japonii stało się to miesiąc później, we wrześniu).

Magia polikarbonatu

Sięgnijmy do tekstu Roberta Gajewskiego „Historia płyty kompaktowej. Czy płyty CD wyparły winyle?", zamieszczonego na stronie tophifi.pl. Dobrze tłumaczy bowiem technologiczną tajemnicę wynalazku:

„Płyty kompaktowe wykonane są z substratu poliwęglanowego, a konkretnie tworzywa sztucznego o nazwie polikarbonat – używanego również w przemyśle optycznym. Na płycie „wytłoczony" jest cyfrowy zapis dźwięku w postaci »wyżłobionych rowków« (ang. pits). Głębokość rowków wynosi 0,11 m, a odstęp między ścieżkami jest równy 1,6 m. Na podstawową warstwę płyty CD nałożona jest aluminiowa warstwa odbijająca promień laserowy. Na zewnątrz warstwy aluminiowej znajduje się etykieta z opisem zawartości dysku, a całość powleczona jest powłoką ochronną. Warto odnotować, że podejmowano próby z innymi niż aluminium materiałami odbijającymi promień lasera, takimi jak srebro, platyna, miedź czy złoto, które ostatecznie zostało wdrożone od »uszlachetnionych« edycji".

Odtwarzacz CDP-101

Owego 17 sierpnia 1982 r. w Langenhagen zorganizowano konferencję prasową, podczas której można było zobaczyć, jak pracownik wytwórni PolyGram, w efektownym sterylnym kombinezonie, zdejmuje z taśmy produkcyjnej pierwszą na świecie srebrzącą się płytę kompaktową. Jej wytłoczenie trwało pięć sekund. Kilka tygodni później, 1 października 1982 r., w Tokio firma Sony pokazała pierwszy odtwarzacz CDP-101, który wtedy kosztował kosmiczne 720 dolarów.

Na rynku USA pierwsze albumy CD kosztowały 15 dolarów (dziś to równowartość 35 dolarów). Podobnie jak w Japonii ceny odtwarzaczy szybowały – w przypadku modeli z tzw. górnej półki przekraczały poziom nawet tysiąca dolarów. Dla porównania, w 1982 roku w PRL średnia krajowa w przeliczeniu na dolary wynosiła około 25 dolarów.

FOT. CC

Producenci nie ukrywali, że wprowadzając na rynek odtwarzacz CD, chcą zastąpić gramofon analogowy i kasety magnetofonowe

Słuchając Chopina

Według wielu źródeł pierwszą wydaną komercyjnie płytą CD było nagranie audio walców Fryderyka Chopina w wykonaniu chilijskiego pianisty Claudio Arrau. Z kolei inne podają, że pierwszą wydaną płytą kompaktową był album „The Visitors" zespołu ABBA. Na pewno jednak jednym z pierwszych masowo sprzedawanych albumów wydanych na płycie CD był album Billy'ego Joela „52nd Street", który trafił do sklepów w Japonii w październiku 1982 roku. Pionierskim albumem wydanym na płycie kompaktowej była płyta „Brothers in Arms" zespołu Dire Straits wydana w dniu 13 maja 1985 r. Sprzedał się w nakładzie ponad miliona egzemplarzy i zapoczątkował triumfalną drogę CD w świecie audiofilów.

Skompresujmy to!

Z czasem okazało się, że CD może służyć do zapisu muzyki, filmu (Video CD albo Super Video CD) lub różnego rodzaju plików komputerowych. Standardowo płyta mieści 74 minuty muzyki zapisanej przy użyciu kodowania PCM, co odpowiada 650 MB danych. Najczęściej dźwięk na płycie CD nie jest poddawany kompresji.

Ale powstały również nośniki mieszczące: 700 MB (80 min), 800 MB (90 min), 870 MB (99 min), a nawet 1,4 GB, czyli płyty dwustronne, jednak dwie ostatnie występują niemal wyłącznie jako płyty jednokrotnego zapisu. Wśród płyt pierwotnie tłoczonych (komercyjnych) dominują rozmiary 650 MB i 700 MB.

Dodajmy, że CD można było odtwarzać nie tylko w domu. Np. w 1984 r. na rynek wprowadzono pierwszy odtwarzacz płyt kompaktowych montowany w samochodzie. Przez kilka lat był to jednak luksus, który – głównie w USA – kosztował nawet ponad 20 procent ceny nowego auta klasy średniej. Niektórzy producenci stosowali skomplikowane i dość zawodne samochodowe odtwarzacze CD z tak zwanym cartridge'em. Zasada ich działania polegała na tym, że płytę należało najpierw umieścić w specjalnym zasobniku, który wsuwano do podłużnego otworu w odtwarzaczu.

Młodzi też to lubią

Schyłek popularności płyt CD rozpoczął się w momencie, gdy narodziła się technologia MP3, ale spore znaczenie miało także pojawienie się pierwszych serwisów streamingowych. Ale już kilka lat temu zauważono renesans CD. Według raportu amerykańskiego tygodnika „Billboard" sprzedaż muzycznych albumów na compactach w 2021 roku wzrosła w stosunku do roku wcześniejszego, a kolejne lata to potwierdziły.

Badania z 2024 r. dowodzą, że około 40 procent nabywców CD w USA miało mniej niż 35 lat, co przeczy stereotypowi, że to medium tylko „dla starszych pokoleń". Co więcej, kolekcjonerzy cenią nie tylko muzykę i obraz, ale także oprawę graficzną i booklet, które w streamingu wirtualnie nie istnieją.

Bez CD ani rusz

Dla wielu osób srebrna płyta jest symbolem nostalgii i sentymentu – przypomnieniem dzieciństwa i czasów, gdy CD czy DVD były standardem w domach. Nie bez znaczenia pozostaje również aspekt finansowy. W porównaniu do winyli CD i DVD bywają bardziej dostępne cenowo, a jednocześnie pozwalają na posiadanie pełnej kolekcji ulubionych tytułów w formie namacalnej. Warto też zauważyć, że powrót CD i DVD nie ogranicza się tylko do muzyki i filmów. Starsze formaty są wykorzystywane do kolekcjonerskich wydań gier wideo, dokumentów, koncertów i materiałów edukacyjnych. To pokazuje, że fizyczne nośniki zachowują swoją funkcjonalność i wartość mimo dominacji cyfrowego rynku.

eprasa.pl 528e2659f7

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Mariusz Grabowski

„Cywilizacja to mimo wszystko wielka sprawa...”

„Ostrożnie, czytelniku! – zaczyna swą opowieść Sándor Márai – Teraz nastąpi psia historia. Należałoby się dowiedzieć, jakiego rodzaju słabością jest ta, która czasem dopada pisarzy, nawet tych najbardziej wymagających, w trakcie ich kariery, żeby swoją uwagę oraz intencję przenieśli z odwiecznego i wybitnego modelu – człowieka – na niższych rangą statystów dzieła stworzenia. (...) Aha, pies!... – myśli (taki) z pobłażliwą przychylnością. Po czym gwiżdże i rusza z psem na spacer”.

Dla psiarzy, choć nie tylko

Powyższy fragment to wstęp do „Csutory. Psiej powieści”, prostej i zabawnej opowieść o relacji pana i psa. W istocie jednak książka Máraiego ukazuje konflikt między instynktem a porządkiem, naturą a mieszczańską formą życia.

„Csutora” została napisana na początku lat 30. XX w. i nie jest jedynie sentymentalną przypowiastką, lecz przenikliwą obserwacją codziennych rytuałów, reguł i ograniczeń, jakie człowiek narzuca sobie i innym, by móc funkcjonować w społeczeństwie.

Márai precyzyjnie pokazuje, że ani bezwarunkowa wolność, ani skostniały ład nie oferują prawdziwego rozwiązania, a bunt, choć nieuchronnie kończy się porażką – pozostaje jednym z podstawowych doświadczeń ludzkiej egzystencji.

Psi przykład dobry na wszystko

Wątki kynologiczne pojawiają się w twórczości Máraia wielokrotnie, czasem jako dygresja, a czasem jako przykład jakiegoś zjawiska. W 1925 r. pisarz wybrał się na Bliski Wschód, podróżując m.in. przez Egipt, Palestynę, Liban i Syrię. Owocem był tom „W podróży”. Analizując go ,Barbara Zwolińska, autorka tekstu „Sándor Márai na Bliskim Wschodzie”, pisze:

„Zaczarowany klimat Kairu w pierwszą noc Bajramu, tego wschodniego karnawału, następującego po ramadanie, czyli okresie postu i wyrzeczeń, wprawia tłumy Arabów przelewające się przez ulice w gorączkowy stan. Uwolnienie zmysłów, uwięzionych dotąd w gorsecie ramadanu, spuszczonych ze smyczy niczym wygłodniałe psy, prowadzi do rozpasania, niejednokrotnie do utraty rozsądku i rozluźnienia samokontroli”.

Powyższym uwagom daleko do filozoficznych wywodów z „Csutory”. Czego to dowodzi? Ano tego na przykład, że w kwestii psiej łatwo posunąć się za daleko.

Sándor Márai, „Csutora. Psia powieść”, wyd. czytelnik, Warszawa 2026, cena 52 zł

Dziedzictwo Czyngis-chana wciąż trwa

Ta książka to więcej niż biografia mongolskiego wodza; to głębokie studium wpływu mongolskiego przywódcy na kształt cywilizacji, w której żyjemy.

Jack Weatherford , „Czyngis-chan. Architekt nowoczesnego świata”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 79,99 zł

„Wykonywaliśmy tylko rozkazy...”

Zapis norymberskich rozmów amerykańskiego psychiatry m.in. z Hermannem Göringiem, Ernstem Kaltenbrunnerem, Hansem Frankiem i Joachimem von Ribbentropem.

Leon Goldensohn, „Rozmowy norymberskie”, wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 89,99 zł

Sycylia jako lustro cywilizacji

Książka Jean-Yvesa Frétignégo to coś więcej niż suchy zbiór faktów. Autor obala wiele utrwalonych stereotypów i na nowo ukazuje złożoność sycylijskiej historii.

Jean-Yves Frétigné, „Historia Sycylii. Od początków do naszych czasów”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 79 zł

Historia Polski opisywana z oddali

Przegląd myśli historiograficznej polskiej diaspory na emigracji. Wśród autorów m.in. Jan Ciechanowski, Władysław Dziewanowski, Oskar Halecki, Marian Kukiel i Stanisław Mackiewicz.

Rafał Stobiecki, „Zza żelaznej kurtyny”, wyd. IPN, Warszawa 2025, cena 65 zł

Olędrzy, Bambrzy, mennonici

Maciej Falkowski zabiera nas w podróż śladami niemieckich kolonistów, którzy przez stulecia, sprowadzani przez Piastów śląskich, Kazimierza Wielkiego i Krzyżaków, byli obecni na polskiej ziemi.

Maciej Falkowski, „Nasi Niemcy”, wyd. Czarne, Wołowiec 2026, cena 57,90 zł

Między azylem a miejscem izolacji

Reportaż o stuletniej historii krakowskiego szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie – miejsca symbolicznego dla polskiej psychiatrii.

Krystyna Rożnowska, „Można oszaleć. Opowieść o szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie”, wyd. Mando, Kraków 2026, cena 59,90 zł

Czy Polska potrzebuje strategii jądrowej?

Tak! – dowodzi autor, ekspert od strategii nuklearnej w think tanku Strategy&Future, pisząc ten kompleksowy przewodnik po świecie broni jądrowej.

Albert Świdziński, „Nasza bomba. Czy Polska potrzebuje strategii jądrowej?”, WL, Kraków 2026, cena 99,90 zł

Spoglądając nie tylko na Chiny

Azja to dziś awangarda globalnych przemian. Od uporządkowanego Singapuru, przez dynamiczny Wietnam, aż po technologicznie zaawansowaną Japonię i Koreę.

Simone Pieranni, „2100. Jak Azja tworzy naszą przyszłość”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł

„Zdarza się, że obraz wywołuje grom”

Laura Cumming wprowadza nas w świat XVII-wiecznego holenderskiego malarza Carela Fabritiusa. Od amsterdamskich zaułków po nabrzeża Delft.

Laura Cumming , „Grom z jasnego nieba. Opowieść o sztuce, życiu i nagłej śmierci”, WL, Kraków 2026, cena 79,90 zł

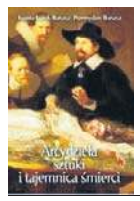

Lekcja anatomii doktora Tulpa

Szósty tom serii o ukrytych kodach w dziełach malarstwa. Tym razem o tajemnicy śmierci i jej ukazywaniu przez wielkich mistrzów.

Joanna Łenyk-Barszcz, Przemysław Barszcz, „Arcydzieła sztuki i tajemnica śmierci”, wyd. ZonaZero, Warszawa 2026, cena 64,90 zł

Wenecja. Tylko dla wymagających

W tym przewodniku znalazły się wskazówki, gdzie degustować wino, gdzie podziwiać sztukę w mniej znanych galeriach czy wreszcie jak obserwować weneckie życie.

Lucie Tournebize, Guillaume Dutreix, „Wenecja. Mały atlas hedonistyczny”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł

Magnetyczny urok diamentu Hope

Ana Trigo barwnie demaskuje legendy, które narosły wokół słynnych klejnotów, ale przedstawia też ludzi, którzy je posiadali, pragnęli, a czasem nawet dla nich ginęli.

Ana Trigo, „Przeklęte klejnoty. Opowieść o miłości, zdradzie i chciwości”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 64,99 zł

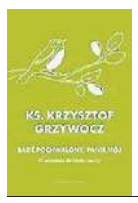

O wracaniu do istoty rzeczy

Refleksje nad prawdziwą istotą chrześcijaństwa i znaczeniem wdzięczności w codziennym życiu. Od rozważań nad fragmentami Psalmu 95 po pieśń trzech młodzieńców z Księgi Daniela.

Ks. Krzysztof Grzywocz, „Bądź pochwalony, Panie mój”, wyd. WAM, Kraków 2026, cena 46,90 zł

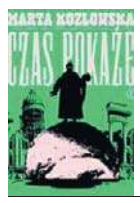

„Czy jest tu coś do żarcia?”

Z jednej strony „Czas pokaże” to wizja postapokaliptycznego świata, z drugiej prowokująca satyra na temat tego, co może pozostać z naszej cywilizacji, gdy „kurz opadnie”. A pozostanie raczej niewiele.

Marta Kozłowska , „Czas pokaże”, WL, Kraków 2026, cena 49,90 zł

O przydatności duszy w życiu ptasim

Zbiór 34 opowiadań, które zabierają czytelnika w podróż przez różnorodne zakątki ludzkiej wyobraźni i doświadczeń. Ich twórcy skupieni są wokół grupy literackiej, znanej jako Związek Pisarzy ze Wsi.

„Ptaszki polskie. Antologia opowiadań”, wyd. PIW, Warszawa 2025, cena 89 zł

Czy Tołstoj musiał wiać z Jasnej Polany?

Co by było, gdyby Ludwig Wittgenstein zdążył spotkać się z Georgiem Traklem? A co stałoby się, gdyby młody Adolf Hitler znalazł swoje miejsce w wiedeńskiej ASP? Pyta i odpowiedzi udziela Anna Arno.

Anna Arno, „Do Pana kieruję moje milczenie”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł

eprasa.pl 528e2659f7

INWESTYCJE JEST SZANSA, ŻE PRACE PRZY BUDOWIE TUNELU ZAKOŃCZĄ SIĘ JESZCZE W TYM ROKU

Pierwszy tunel tramwajowy w Warszawie rośnie w oczach

Mateusz Bagieński
Warszawa

Budowa pierwszego tunelu tramwajowego przy Dworcu Zachodnim w Warszawie wchodzi w kolejny etap. To jedna z kluczowych realizacji w mieście. Jest szansa na jej koniec w tym roku.

Na budowie pierwszego w Warszawie tunelu tramwajowego widać wyraźny postęp. Jak informują Tramwaje Warszawskie, płyta denna - czyli konstrukcyjna „podłoga" tunelu - została wykonana już niemal na całej jego długości. To jeden z kluczowych elementów całej inwestycji, stanowiący podstawę dalszych prac konstrukcyjnych.

Roboty są obecnie prowadzone także w rejonie przyszłej rampy wyjazdowej od strony ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r.

- Prace koncentrują się także w miejscu przyszłego połączenia tunelu z wykonaną już konstrukcją przystanku przy Dw. Zachodnim - trwa głębienie wykopu i wykonywanie stropu górnego tunelu - poinformowały Tramwaje Warszawskie. Intensywne prace prowadzone są również w miejscu, w którym tunel połączy się z wykonaną już konstrukcją przystanku tramwajowego przy Dworcu Zachodnim. Trwa tam głębienie wykopu oraz wykonywanie stropu górnego tunelu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tunel tramwajowy pod Dworcem Zachodnim będzie miał ok. 500–600 m. długości. Zapewni on dojazd do podziemnego przystanku zlokalizowanego tuż przy dworcu

Docelowo tramwaje będą dojeżdżały do przystanku końcowego zlokalizowanego na wysokości budynku dworca kolejowego od strony Al. Jerozolimskich. Perony tramwajowe zostaną połączone z poziomem -1 (antresolą) za pomocą wind, podwójnych ciągów schodów ruchomych (góra-dół) oraz schodów stałych. Wyjście z przystanku znajdzie się tuż przed wejściami na perony kolejowe.

Dodatkowo przewidziano wyjścia na powierzchnię - na plac pomiędzy biurowcami West Station, dworcem kolejowym a dworcem autobusowym Polonusa.

Sam tunel tramwajowy budowany pod Dworcem Zachodnim będzie miał ok. 500-600 metrów długości. Zapewni on dojazd do podziemnego przystanku zlokalizowanego tuż przy dworcu, a wyjazd z tunelu zaplanowano między jezdniami ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r.. Cała nowa trasa tramwajowa (od Grójeckiej) ma około 1,6 km długości

Zakończenie budowy i uruchomienie ruchu tramwajowego do Dworca Zachodniego planowane jest na drugą połowę 2026 roku. Termin może jednak zostać przesunięty z powodu mroźnej zimy.

Nowy odcinek do Dworca Zachodniego stanowi fragment obwodowej trasy tramwajowej, która w przyszłości połączy Wolę, Ochotę, Mokotów i Wilanów. Ze względu na skalę inwestycji realizacja projektu została podzielona na etapy.

W połowie stycznia podpisano umowę na projekt odcinka od Dw. Zachodniego do ul. Kasprzaka na Woli. Całość inwestycji jest dofinansowana z Programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat i Środowisko 2021-2027 i została wskazana jako operacja o znaczeniu strategicznym.

Planowana trasa tramwajowa połączy budowany obecnie podziemny przystanek na Dworcu Zachodnim z ulicą Kasprzaka, łącząc tym samym Ochotę i Wolę.

Tory poprowadzą w tunelu pod stacją kolejową, następnie w nowym tunelu i dalej w ciągu ulic Prądzyńskiego i Krzyżanowskiego. Połączenie z ul. Kasprzaka zaplanowano w rejonie przystanku Szpital Wolski. Długość nowej trasy wyniesie ok. 1,4 km, z czego pod ziemią znajdzie się ok. 0,9 km. Wartość tej inwestycji to 14,4 mln zł brutto, a opracowaniem dokumentacji zajmie się firma Databout.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba 601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

NASTOLATKI rozjaśniają smutne przestrzenie!
Zobacz nasze działania wpisując w wyszukiwarkę "OD SZAROŚCI DO RADOŚCI" - to nazwa naszego projektu, zachęcamy do zapoznania się z nim.
Malujemy murale w domach pomocy w ramach projektu społecznego, jeżeli znasz miejsce które mogłoby skorzystać z naszej pomocy, prosimy o kontakt!
odszaroscidoradosci@gmail.com

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski **przetargi**
nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →
GOL24
Wszystko o piłce
gol24.pl

eprasa.pl 528e2659f7

Paweł Wąsek: Chcę pracować, i walczyć o największe sukcesy

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Rozmawiamy z Pawłem Wąskiem, wicemistrzem olimpijskim z Mediolanu w skokach narciarskich w konkursie duetów.**

Emocje po igrzyskach już opadły?
Szybko wróciliśmy do swoich obowiązków. Mistrzostwa Polski w Wiśle, potem loty w Bad Mitterndorf, więc tak naprawdę nie było jeszcze wolnego czasu, żeby nacieszyć się medalem. Igrzyska ciągle jednak czuję, bo te emocje i to, co się dzieje dookoła mnie jest zupełnie nowym doświadczeniem. To jest bardzo intensywny, ale przyjemny czas. Odpocznę po sezonie.

Za wywalczenie srebrnego medalu w konkursie duetów z Kacprem Tomasiakiem otrzymasz od Polskiego Komitetu Olimpijskiego 200 tysięcy złotych oraz 200 tysięcy w tokenach. Od Ministerstwa Sportu na twoje konto wpłynie prawie 80 tysięcy złotych, ale też stypendium, niemal 450 tysięcy. Jak wykorzystasz te pieniądze?
Dla mnie to będzie bardzo duże zabezpieczenie i wsparcie, za co jestem wdzięczny. Niestety, w skokach jest tak, że nie zawsze pieniądze są, a jak ich nie ma, to trzeba sport łączyć z pracą, co odbija się na wynikach, albo zrezygnować z kariery. Takich przypadków w naszym kraju było sporo.

FOT. WOJCIECH MATUSIK

Paweł Wąsek i Kacper Tomasiak zdobyli srebrny medal olimpijski w konkursie duetów w skokach narciarskich

Przeszedłeś długą i trudną drogę, by stanąć na olimpijskim podium. W 2014 roku zaliczyłeś bardzo groźnie wyglądający upadek, jeszcze jako junior, przedskoczek przed zawodami Pucharu Świata w Wiśle. Potem wracałeś do skakania, zaczynając od ośmiometrowego obiektu, razem z trenerem Janem Szturcem.
To była ciężka droga, ale w sporcie nie ma łatwych dróg. W sporcie każdy musi przejść tą trudną, aby zdobyć medal. Jestem wdzięczny osobom, którzy w tym trudnym okresie wspierali mnie i dodawali siły. Dzięki nim, nie poddałem się i nie załamałem. Taki sukces jak srebro podczas igrzysk potrafi wynagrodzić cały trud.

Czy dziś, gdy siadasz wysoko na skoczni na belce startowej, wciąż myślisz o tym nieszczęśliwym wypadku? On wywołał u ciebie traumę na blisko dziesięć lat, potrzebowałeś pomocy psychologa.
Zdarzają się takie pojedyncze przypadki, zwłaszcza wtedy, gdy warunki nie są najlepsze. Taka jest jednak nasza dyscyplina, że nie zawsze wszystko jest zależne od nas, a dużą rolę odgrywa też pogoda. Na co dzień nie mam jednak z tym najmniejszego problemu i cieszę się skokami.

Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?
One się właściwie nie zmieniają. Chcę dalej pracować, rozwijać się i walczyć o największe sukcesy. Tę pewność, którą zyskałem podczas igrzysk olimpijskich, chciałbym przekładać na treningi i dobrą dyspozycję w zawodach, żeby być jeszcze lepszym zawodnikiem.

W poprzednim sezonie byłeś liderem polskiej kadry, w tym – poza igrzyskami – forma daleka była od twoich i kibiców oczekiwań. W nowym sezonie postarasz się wrócić do szerokiej światowej czołówki skoków i powalczyć o czołową dziesiątkę klasyfikacji generalnej Pucharu Świata?
Oczywiście, że tak. Zawsze mam ambitne cele i będę walczył o jak najwyższe miejsca w poszczególnych konkursach, które mam nadzieję, na koniec sezonu dadzą mi wysoką pozycję w klasyfikacji generalnej. Do treningów wracamy najprawdopodobniej w połowie kwietnia i zrobię wszystko, aby wrócić w sezonie zimowym jak najlepiej przygotowanym. ©℗

Biało-Czerwoni powalczą o medale i punkty

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

Skoczkowie oraz łyżwiarze szybcy będą w weekend rywalizować w zawodach Pucharu Świata i mistrzostwach świata. Na starcie medaliści igrzysk z Mediolanu.

W fińskim Lahti na piątek i sobotę zaplanowano konkursy indywidualne mężczyzn, a na niedzielę konkurs duetów. Piątkowe zawody postanowiono zorganizować dodatkowo w zamian za konkurs w Ruce na początku sezonu, którego nie udało się przeprowadzić ze względu na zbyt silny wiatr.

Prowadzący w klasyfikacji generalnej Słoweniec Domen Prevc już podczas tego weekendu może zapewnić sobie Kryształową Kulę. W klasyfikacji generalnej ma 1814 pkt. Drugi Japończyk Ryoyu Kobayashi traci do niego 761 pkt. Do końca sezonu zostało jeszcze osiem indywidualnych konkursów – po dwa w Lahti, Oslo, Vikersund i Planicy.

FOT. PAP

Władimir Siemirunnij z Zimowych Igrzysk Olimpijskich Mediolan-Cortina wrócił ze srebrnym medalem

Polski Związek Narciarski wciąż nie ogłosił składu reprezentacji na zawody w Lahti, ale możliwe, że znajdzie się w nim trzykrotny medalista Kacper Tomasiak, który w czwartek uczestniczył w konkursie indywidualnym w mistrzostwach świata juniorów w norweskim Lillehammer. Niewykluczone, że z Norwegii szybko przemieści się do Finlandii i dołączy do kadry trenera Macieja Maciusiaka.

Mistrzostwa świata w wielobojach, które potrwają do niedzieli zakończą międzynarodowy sezon w wykonaniu panczenistów. W holenderskim Heerenveen wystartują również Polacy z Władimirem Siemirunnijem i Damianem Żurkiem na czele, którzy mogą włączyć się do walki o podium.

W wieloboju sprinterskim zobaczymy przynajmniej pięcioro Polaków. Poza Żurkiem wystartują Marek Kania, a także Kaja Ziomek-Nogal, Martyna Baran i Karolina Bosiek. Niewykluczone, że ostatecznie wystąpi też Piotr Michalski, który zajmuje pierwsze miejsce na liście rezerwowej. Od soboty do gry o medale MŚ wkroczą zaś specjaliści od średnich i długich dystansów, którzy zmierzą się w „dużym" wieloboju, obejmującym rywalizację na 500, 3000, 1500 i 5000 m wśród kobiet oraz 500, 1500, 5000 i 10 000 m u mężczyzn. W tych zawodach wystartuje dwoje Polaków, Siemirunnij oraz Zofia Braun.

Odnajdujący się w sytuacjach kryzysowych legionista przejął Widzew

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Zajmujący przedostatnie miejsce Widzew Łódź zatrudnił już czwartego trenera w tym sezonie. Zespół zbudowany za rekordowe pieniądze spróbuje okiełznać Aleksandar Vuković.

W debiucie nowy trener podejmie aktualnego mistrza Polski, Lecha Poznań. Hit PKO Ekstraklasy w sobotę o 20.15.

Powrót do ligi

46-letni Vuković powraca do zawodu po przeszło półrocznej przerwie. Wcześniej z powodzeniem prowadził Piasta Gliwice, którego działacze po ubiegłym sezonie nie zaproponowali mu nowej umowy, choć zajął przyzwoite dziesiąte miejsce i wypromował kilku graczy (Michael Ameyaw i Ariel Mosór zostali sprzedani do Rakowa Częstochowa za łącznie 1,75 mln euro). Latem Serb z polskim paszportem był łączony z kolejnym w swojej karierze powrotem do Legii Warszawa. Dyrektor sportowy Michał Żewłakow wahał się do końca, aż w końcu wybrał Rumuna Edwarda Iordanescu i była to decyzja fatalna, której opłakane skutki widzimy do dzisiaj.

Podobnie jest z Widzewem. Nowy właściciel Robert Dobrzycki za same transfery zapłacił z własnej kieszeni około 100 mln złotych (!), ale zespół właśnie odpadł z Pucharu Polski na etapie ćwierćfinału i tak jak Legia zajmuje miejsce w strefie spadkowej PKO Ekstraklasy. I ma jedynie tzw. matematyczne szanse na europejskie puchary. Zupełnie nie wypalił pomysł z zatrudnieniem w połowie października Igora Jovicevicia działającego wcześniej z powodzeniem w Szachtarze Donieck czy Łudogorcu Razgrad. Chorwat nie wypracował żadnego stylu, punktując na koszmarnym poziomie 1,13 pkt na mecz. Nie popisali się również odpowiedzialni za wzmocnienia Dariusz Adamczuk z Piotrem Burlikowskim. Oni jednak w klubie zostają mimo wielu przestrzelonych transferów w zimowym okienku.

Walka o utrzymanie

Vuković najpierw będzie musiał więc wcielić się w rolę strażaka gaszącego rozległy pożar. Priorytetem na tę chwilę jest bowiem zapewnienie sobie utrzymania. W klubie zapewniają, że trener z legijnym DNA w przeciwieństwie do poprzedników dostanie czas - stąd umowa nie do czerwca, lecz do końca przyszłego sezonu. Jego najbliższym asystentem został Jakub Dziółka, były trener ŁKS Łódź typowany niedawno do pełnienia tej funkcji w Odrze Opole.

Vuko udowodnił już w Legii, że umie pracować z zespołem będącym w kryzysie. Dobrze wypadł choćby wtedy, kiedy przejmował stołeczną drużynę po Marku Gołębiewskim, gdy ten został rzucony na zbyt głęboką wodę po Czesławie Michniewiczu. Poza tym wie, jak smakuje sukces, o który w przyszłym sezonie chce zabiegać Widzew; przy Łazienkowskiej zdobył trzy tytuły mistrzowskie: dwa jako piłkarz, jeden jako szkoleniowiec.

Widzew w tym roku wygrał tylko jeden z sześciu rozegranych meczów. Do bezpiecznego miejsca traci dwa punkty. W debiucie Vukovicia spróbuje zrewanżować się Lechowi za porażkę 0:2 z Poznania. Kolejorz również odpadł już z Pucharu Polski, przegrywając w środę u siebie z Górnikiem Zabrze. ©℗

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Aleksandar Vuković w sobotę poprowadzi piłkarski zespół Widzewa Łódź w meczu 24. kolejki ekstraklasy

eprasa.pl 528e2659f7

polski skoczek narciarski
warzywo korzenne
manna
śledzenie, pilnowanie
część dworca kolejowego
odpad z cukrowni
leci do światła
bagienna mgła
imię Lipnickiej, piosenkarki
syn Adama i Ewy
wynik dzielenia
urodziwa dziewczyna
Gene, aktor z filmu „Francuski łącznik”
krzywa na wykresie
kończy grecki alfabet
stolica Senegalu
stragan
klęcząca postać w sztuce
bohaterka powieści Zoli
objaw przeziębienia
„... Tadeusz”, poemat
mityczny syn Dedala
ukraiński bajarz ludowy
przedporcie
zabiegi, usiłowania
bizantyjski obraz
kwit kasowy
zyn Zeusa i Antiopy
moment pędu
imię kobiece
kawa w proszku
rudel statku
zaleta, cnota
nocne widziadło
zespół Marka Grechuty
poemat epicki
rozdział Koranu
wirująca zabawka, fryga
drogocenna rzecz
szczapy na podpałkę
zieleń na pustyni
grzybki w occie
wyspa w Indonezji
królewski fotel
archipelag z Guam
grecki Mars
syn Izaaka i Rebeki
spód kubka
człowiek-nietoperz
rytm bicia serca
rodzaj mierzei
tętnica główna
operowy kniaź
siepacz, oprawca
kłoda drewna
włoska waluta przed euro
niepokoje, obawy
Kościuszki w Australii
namaszczenie biskupa
drapieżny delfin
... Mistrzów
małżonka Warsa
Wielka ... Koralowa
pospolite kłamstwo
imię Thurman, aktorki
szal jak wąż
rodzaj kilofa
upiększa twarz kobiecą
nie pion i nie poziom
roślina nadwodna
jednostka pracy i energii
wykrzyknik w matematyce
dawny szkic, rysunek
typ Poloneza
serce lub nerka
płonie w świecy
pas ziemi uprawnej
Cezary z „Przedwiośnia”
wśród sztućców
żydowski placek
liche łóżko
zimny francuski wiatr
uchwyt przy tokarce
tnie kłody na deski
bezpieczne schronienie
więzień idei
zasada, reguła
zwiewna tkanina
ostry brzeg
kuchenna przyprawa
cykliczna forma muzyczna
wysłany w kopercie
drugi okres mezozoiku
Edgar, francuski malarz
forma odlewnicza
ożywia lalki w teatrze
towarzyszka życia
wpleciona w warkocz
słodka tabliczka
dwukołowa taczka
mały przekop
przedmiot przynoszący szczęście
smok latający
uszkodzenie ciała
zamieszkała w raju
córki Atlasa i Plejony
żywy taniec rosyjski
rzadkie imię męskie
atak szału
wydzielony obszar
budka na bazarze
szkoda
sąsiad Karola Krawczyka
osad w silniku
papier do wyklejania ścian
gruba zasłona
sąsiad Kuwejtu
mityczny wąż Inków
imię Paschalskiej
katolickie nabożeństwo
szturm, natarcie
sufit, powała
strój Sarmaty
wesoła zabawa
indyjski stan
państwo semickie
bożek z łukiem i strzałami
miejsce akcji „Dżumy”
seria-lowy detektyw
stopień, ocena
torbacz a Ameryki
starszy od kapitana
tworzywo warstwowe
oznaka zmęczenia
karciana gra hazardowa
niszczy żelazo
jedno u cyklopa
roślinny symbol zdrowia
swojak, ziomek
powieściowa rzeka
głębia obrazu
droga dla pociągu
zabronienie
ostry w szpitalu
okularnik indyjski
papuga z Nowej Zelandii
ogół czasopism

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

w prenumeracie
z Tele Magazynem

12 312 53 88

SŁOWNIK: AMARU, ABRYS, MISTRAL, OKARA, ZETOS.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie – myśl Nikołaja Gogola.

ROZWIĄZANIE: PRAWDĘ ZWYKŁO SIĘ MÓWIĆ W GNIEWIE.

eprasa.pl 528e2659f7